



CHARLOTTE LAMB



Sny i marzenia

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zachary West załadował do furgonetki ostatni z obrazów i upewnił się, że wszystkie zamocował bezpiecznie. Nie chciał, by podczas transportu przydarzyło im się coś złego. Właśnie dlatego postanowił zawieźć je na wystawę do Londynu sam, wbrew temu, co radził mu Leo, właściciel galerii i przyjaciel.

- Daj sobie spokój, Zach. Weź paru ludzi z firmy przewozowej i będziesz miał kłopot z głowy - przekonywał go przez telefon.

- Ale ja wolę zawieźć je sam!

- Przesadzasz, doprawdy. Przecież zagwarantują ci fachową usługę!

- Kiedyś straciłem w ten sposób obraz. Upadł na ziemię i został podeptany - przerwał mu stanowczym głosem Zachary. - Nigdy więcej nikogo nie zatrudnię. Osobiście spakuję płótna i przywiozę do galerii.

- Boże, dlaczego ty jesteś taki strasznie uparty? - nie ustępował Leo, ale malarz nie zmienił zdania.

Zawsze długo się zastanawiał, zanim cokolwiek zrobił. Jeśli już jednak podjął decyzję, nie zmieniał jej bez względu na to, co ktoś o tym sądził. Uważał, że można polegać tylko na sobie, a życie wielokrotnie dowiodło, że miał rację. Toteż wręcz demonstracyjnie okazywał swoją niezależność.

Ten wysoki mężczyzna o surowych rysach twarzy i ciemnych, bujnych włosach, które były zawsze zmierzwione, wyróżniał się z otoczenia i przyciągał wzrok.

Ale był tak pochłonięty swoją sztuką, że nie zwracał uwagi na przyglądających mu się na ulicy ludzi. Rzadko też przyjeżdżał do

Londynu, bo niechętnie opuszczał swój dom nad Morzem Północnym. Mieszkał sam i większość czasu poświęcał malowaniu. To był nie tylko jego zawód, ale największa życiowa pasja.

Od roku nie było w jego życiu żadnej kobiety. Kiedy odkrył, że jego ówczesna przyjaciółka, Dana, spotyka się równocześnie z innym mężczyzną, bez ogródek powiedział jej, co o tym myśli i zerwał z nią. I byłby już o niej zapomniał, gdyby nie to, że od czasu do czasu przypadkiem wpadał mu w ręce jakiś pozostawiony przez nią drobiazg - chusteczka, wciąż pachnąca jej perfumami, grzebień czy szminka. Patrzył na nie z dezaprobatą i czym prędzej się ich pozbywał, ale jeszcze przez moment czuł w swoim domu obecność Dany. Widział jej błyszczące, uwodzicielskie oczy oraz usta, które w uśmiechu, przypominały mu kota z Cheshire, z „Alicji w krainie czarów”. Odpędzał jednak od siebie ten obraz w bezlitosny sposób.

Drugą, po malarstwie, pasją Zacharego Westa było pielęgnowanie ogrodu. Hodował nie tylko ozdobne krzewy i kwiaty, ale uprawiał także jarzyny i owoce. Trzymał nawet kilka kur, dzięki czemu miał jaja i drób z własnego gospodarstwa. Ogród osłaniał od nadmorskiego wiatru dom z czerwonej cegły, wzniesiony jeszcze w czasach królowej Anny dla emerytowanego kapitana, który chciał się tu czuć tak, jakby wciąż był na morzu. I rzeczywiście podczas sztormu stare belki skrzypiały i ugiwały się niczym statek na wodzie. Pod tym względem nic się nie zmieniło, bo dom stał tuż nad morzem, na wietrznym wybrzeżu Suffolk, z przodu otoczony przez nieprzyjazne fale, a z tyłu przez polną równinę.

Od trzystu lat było to wciąż dzikie pustkowienie, bo najbliższa osada, Tareton, znajdowała się o milę stąd, a do miasteczka Whinbury jechało się

samochodem dobre dwadzieścia minut. Jednak właśnie oddalenie domu od ludzkich siedzib przywiodło tu Zacharego Westa. W takim miejscu mógł się w pełni skupić na malowaniu, a jeśli potrzebował czegoś, czego nie było w wiejskim sklepiku, na przykład farb lub płócien, jechał do Whinbury lub niekiedy do Londynu, jak właśnie dzisiejszego wieczoru.

Ubrany w czarną skórzaną kurtkę i nieodłączne dżinsy, wyszedł z domu i miał już ruszyć w drogę, gdy jego uwagę zwróciło nagle pociemniałe, wiosenne niebo. Było jeszcze trochę za wcześnie na zmrok. Czyżby więc zanosilo się na deszcz, pomyślał zaniepokojony. Nie zachwycała go perspektywa długiej jazdy w deszczu, a do tego wieczorem. Spojrzał na zegarek i uznał, że w Londynie powinien być około siódmej. Zatem przy odrobinie szczęścia uda mu się tam dojechać, zanim zacznie padać.

Podczas jazdy myślał o zbliżającej się wystawie i zamieszaniu, jakie zwykle towarzyszyło tego rodzaju imprezom. Uśmiechnął się cynicznie na myśl, że zachowuje się wobec właściciela galerii nieco obłudnie. Leo przecież czuł się w tym wszystkim jak ryba w wodzie - uwielbiał pokazy dla prasy i snobistyczne przyjęcia oraz owocujące pochlebnyymi recenzjami spotkania z krytykami sztuki i klientami, których przyprowadzali na wernisaże. On sam jednak szczerze tego wszystkiego nienawidził. Teraz żałował, że dał się namówić Leonardowi na wystawę.

Przerażenie Westa nie wynikało z tremy, zwłaszcza że w galerii Leonarda miał się odbyć już trzeci pokaz jego twórczości. Po prostu czuł wyjątkową niechęć do całej tej maskarady. Z tego powodu jego obecna wystawa odbywała się po dłuższej przerwie, jakkolwiek nie śpieszył się z nią również dlatego, że i bez częstych pokazów był wziętym artystą. Nie

malował portretów, więc nie musiał się rozglądać za bogatymi ludźmi, którzy chcieliby mu pozować. Jego pejzaże i martwe natury sprzedawały się znakomicie, bo ludzie rozumieli ich treść i nie trzeba im było tłumaczyć niczego. A Leo myślał, że...

W pewnym momencie, w gęstniejącym mroku, kątem oka zauważył jakąś tajemniczą biel. Odruchowo odwrócił głowę i przekonał się, że nie było to chwilowe złudzenie. Za przydrożnym żywopłotem rzeczywiście unosiło się coś białego. Cóż to, u licha, może być, pomyślał zaskoczony. Wyteżył wzrok, by rozpoznać dziwne zjawisko, ale wciąż mu się to nie udawało. Czy był to unoszony przez wiatr kawałek papieru? Białe ptak? Rzadko pojawiająca się tutaj sowa płomykówka? Nacisnął na hamulec i jadąc wolniej wpatrywał się w nieokreśloną biel. Wtem włosy zjeżyły mu się na głowie, bo nagle biel pojawiła się przy drodze, jakby przepłynęła przez żywopłot. I z pewnością nie był to żaden ptak. Cóż to więc jest, na Boga, zastanawiał się coraz bardziej zdumiony.

Zachary nie wierzył w duchy i drażniły go rzeczy, których nie potrafił sobie racjonalnie wytłumaczyć. A poza tym miał dobrze wyćwiczony wzrok, bo był przecież malarzem. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, jak łatwo jest ulec optycznemu złudzeniu. Uznał więc, że musi istnieć logiczne wyjaśnienie zagadkowego białego kształtu i niemal zatrzymał się przed bramą w żywopłocie. Zobaczył przez nią ogród, a w głębi niewyraźny zarys dużego białego domu. Tajemnicza biel znajdowała się właśnie przy bramie i odwracała w stronę, w którą jechał Zachary.

Teraz nareszcie zrozumiał, co w rzeczywistości widział wcześniej, i zaczął się śmiać. Był trochę zły na siebie, bo poczuł się jak głupiec. Prawie uwierzył, że zobaczył ducha, a to po prostu była dziewczyna. Dziewczyna

w białej sukience z drugimi, szerokimi rękawami. Miała długie, ciemne włosy, które okalały owalną twarz o jasnej cerze. To z powodu tych ciemnych włosów i zapadającego zmierzchu nie zauważył jej głowy, gdy szła, smukła i wysoka, przez ogród. Wcześniej spostrzegł tylko biel jej długiej sukienki, ale teraz przez moment widział ją z bliska. Miała duże, fioletowe oczy, które na moment odruchowo zatrzymały się na nim, gdy zwolnił przed bramą, po czym obojętnie odwróciła głowę. Patrzyła w stronę Whinbury.

Zachary skrzywił się i dodał gazu. Gdyby się tak nie śpieszył, z pewnością zatrzymałby się i zapytał, czy ona naprawdę jest człowiekiem, a nie duchem lub młodą czarownicą, która o zmierzchu rzuca na ludzi swoje uroki. Znowu się roześmiał. Dość już tych nonsensów, powiedział sobie. Ale prawda była taka, że ta przypadkiem napotkana dziewczyna bardzo go zaintrygowała. I choć oczywiście nie była ani duchem, ani młodą czarownicą, to miała jakąś niezwykłą, jakby nieziemską urodę. Nie mógł uwolnić się od ciekawości, dlaczego spacerowała sama w ciemnym ogrodzie. Na kogo czekała? Czy na kochanka? W jej gestach wyczuwało się zniecierpliwienie, a w spojrzeniu dziwną determinację. Jednak na jej twarzy nie spostrzegł śladu namiętnego uczucia czy zmysłowego podniecenia; tak przynajmniej podpowiadała mu intuicja. Jako malarz potrafił rozpoznawać trudno uchwytnie nastroje, lecz tym razem nie był niczego pewien. Ostatecznie doszedł do wniosku, że dziewczyna kojarzy mu się najbardziej z zakonnica... Chyba z powodu nieskazitelnego owalu jej twarzy, dużych niebieskich oczu i delikatnych różowych ust. Czystość tych rysów sprawiła, że odniósł wrażenie, jakby ona żyła w jakimś innym, bardziej uduchowionym świecie niż ten, w którym przebywamy na co

dzień. Z niechęcią wspomniął Danę. Tak. Wszystko różniło te dwie dziewczyny. Dana...

W tym miejscu był ostry zakręt i z przeciwnej strony drogi wyskoczył nagle ciemnoczerwony samochód. Był już tak blisko, że Zachary znieruchomiał na moment i pobladł z przerażenia. Zaklął i gwałtownie nacisnął na hamulec. Ostro szarpnął za kierownicę, by skrócić w bok, lecz było już za późno. Uderzona furgonetka wpadła w poślizg i sunęła w poprzek drogi, przetaczając się przez żywopłot. Zachary runął do przodu i uderzył klatką piersiową o kierownicę, ale pasy nie zostały zerwane. Poczul ostre szarpnięcie do tyłu. Gdy uderzył głową w drzwi, osunął się na siedzenie w stanie kompletnego szoku. Półprzytomny usłyszał brzęk szkła i trzask karoserii. Wtem poczul ostry, gryzący zapach.

- O mój Boże - jęknął, biały jak papier, bo natychmiast zorientował się, że to benzyna.

Na wszystkie sposoby próbował uwolnić się z pasów i wyskoczyć z furgonetki, gdy wyrosła przed nim ściana ognia. Palące płomienie wystrzeliły z przodu auta tak gwałtownie, że Zachary zawył z bólu. Na próżno osłaniał przed nimi twarz.

Telefon zadzwonił w chwili, gdy Luisa wychodziła na obchód. Była już i tak spóźniona z powodu ciągłych, pilnych wezwań. Z westchnieniem podniosła słuchawkę.

- Oddział Oparzeń - powiedziała jak zwykle spokojnie, nie chcąc zdradzać swojego zaniepokojenia.

- Siostra Gilbey? - usłyszała w słuchawce miły, znajomy głos, co trochę polepszyło jej nastrój, więc nawet uśmiechnęła się leciutko.

- Słucham, panie doktorze - odpowiedziała z przesadnym respektem, ale w szpitalu starali się zachowywać służbowy dystans.

Głos Davida Hallowsa był zmęczony, jednak wcale jej to nie zaskoczyło. Ostatecznie spędził wiele godzin w sali operacyjnej.

- On jest teraz na erce, lecz za jakieś pół godziny zostanie przewieziony do ciebie. Zaraz przekażę ci jego kartę. Jeśli wziąć pod uwagę, jak ciężko został poparzony, trzeba powiedzieć, że zniósł wszystkie zabiegi bardzo dzielnie. Powinien z tego wyjść. Ta doba będzie decydująca. Jeśli nie nastąpi pogorszenie, rokowanie jest dobre...

Luisa słuchała tego z posepną miną, a jej niebieskie oczy przepełniało współczucie. Pracowała na tym oddziale od kilku lat i stale widywała straszliwie poparzonych mężczyzn, kobiety, a także dzieci, co było najgorsze do zniesienia. Mimo zawodowej rutyny nie zubożała ani trochę i wciąż poruszało ją ludzkie cierpienie.

- Na szczęście nie jesteśmy w tej chwili postawieni wszyscy na nogi. Jedna z pielęgniarek będzie czuwała przy nim przez całą noc. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by pomóc temu biednemu człowiekowi.

- Jestem tego pewien. Masz przecież taki znakomity personel... - David Hallows mówił ciepłym głosem, a po krótkiej pauzie dodał bardziej poufale: - Skoro nie ma u was teraz alarmującej sytuacji, czy to znaczy, że wybierzesz się ze mną w sobotę potańczyć?

Zaprosił ją już kilka tygodni temu, ale wtedy nie była pewna, czy w tym terminie będzie miała wolny wieczór. Obawiała się, że z powodu przewidywanej nieobecności części personelu trafi jej się kolejny nocny dyżur.

- Znalazłam rozwiązanie, Davidzie - odpowiedziała, wzdychając lekko. - Ale jest to pewien kompromis. Siostra Jenkins zgodziła się zastąpić mnie tylko przez parę godzin. Będzie na dyżurze od ósmej wieczorem do drugiej w nocy, a wtedy przyjdę ja. Helen, na szczęście, pracowała tu długo, zanim przeniosła się na f chirurgię, więc zna specyfikę Oddziału Oparzeń.

- Czyli pójdiesz ze mną potańczyć? - upewniał się David, uszczęśliwiony takim obrotem sprawy.

Luisa wyobrażała sobie teraz uśmiech na jego łagodnej twarzy. David Hallows nie był specjalnie przystojny, ale budził zaufanie. Miał ciemne, gładkie włosy i duże brązowe oczy, pełne ciepła i sympatii dla ludzi. Wyraz jego ust sugerował stanowczość, lecz doktor często się uśmiechał. Był jedną z najpopularniejszych postaci w szpitalu.

- Z prawdziwą przyjemnością! Dziękuję za zaproszenie, Davidzie.

W ciągu kilku ostatnich miesięcy Luisa często umawiała się z nim na kolacje. Jednak to zaproszenie oznaczało coś całkiem innego, o czym oboje dobrze wiedzieli. Chodziło w końcu o bankiet środowiska lekarskiego, na którym będą oficjalnie stanowić parę. Wyobrażała już sobie te podekscytowane spojrzenia, bo w niewielkiej społeczności pracowników szpitala wszyscy nieustannie plotkowali.

Zaraz po tej rozmowie Luisa wyszła na obchód. Na oddziale przygaszono już światła, a niektóre z łóżek osłaniały parawany. Przy pacjencie, którego życie było wciąż zagrożone, czuwała bez przerwy pielęgniarka, ale wszyscy leżeli tu sztywno niczym mumie. Porażeni bólem, obawiali się każdego ruchu. Tylko ich błyszczące oczy zdradzały, że są żywi, że nie śpią i że bardzo cierpią. Luisa przechodziła od łóżka do

łóżka niemal bezszelestnie. Łagodnym szeptem pocieszała tych, którzy czuwali, i obiecywała im środki uśmierzające ból. Z troską zatrzymywała się też przy tych, którym udało się zasnąć.

Lubiła pracę na nocnej zmianie. Uważała, że łatwiej jest wtedy zbliżyć się do pacjentów niż w ciągu dnia,

kiedy bardziej się pilnowali i lepiej skrywali swoje leki i pragnienia. Nocą przeżywali najbardziej krytyczne chwile i szczególnie łaknęli wyrazów troski - bezustannego zapewniania, że nie są pozostawieni sami na sami ze swoim cierpieniem. Została pielęgniarką, ponieważ chciała mieć pracę, która byłaby czymś więcej niż sposobem zarabiania pieniędzy na życie. A pomoc niesiona bardzo chorym ludziom dawała jej poczucie, że robi coś ważnego.

Po powrocie do swojego gabinetu zajęła się pracą biurową. Nagle zadzwonił telefon. W ciszy nocy dźwięk wydał jej się tak ostry, że aż drgnęła. Napięcie nerwowe, które nie opuszczało jej tego dnia, sięgnęło teraz zenitu.

- Oddział Oparzeń - powiedziała do słuchawki.

- Zgłasza się Oddział Intensywnej Terapii. Właśnie przewozimy do siostry pacjenta o nazwisku West.

Odłożyła słuchawkę i podniosła się zza biurka. Od drzwi rzuciła spojrzenie na łóżko przygotowane dla nowego pacjenta i weszła do umywalni, gdzie pielęgniarka Anthea Carter sterylizowała szpitalne baseny.

- Siostro przełożona, czy siostra mnie szukała? - zwróciła się zmieszana do Luisy. - Przepraszam, ale naprawdę chciałam zdażyć z tym na czas - dodała tytułem usprawiedliwienia.

- Panno Carter, proszę zostawić te baseny. Zajmie się nimi siostra Brett, gdy wróci z bufetu. Za chwilę będziemy tu mieli nowego pacjenta i chciałabym, by siostra czuwała przy nim do końca dyżuru. Wymaga stałego nadzoru, gdyż obawiamy się pogorszenia. Gdyby więc siostra dostrzegła coś niepokojącego, proszę bez chwili wahania nacisnąć dzwonek alarmowy.

- Tak, siostrzo przełożona.

Wyszły z umywalni, słysząc nadjeżdżającą windę, z której portier wytoczył wózek z Zacharym Westem.

Asystująca przy transporcie pielęgniarka z Oddziału Intensywnej Terapii wręczyła Luisie kartę choroby nowego pacjenta. Leżał na wózku sztywno jak manekin i był nieprzytomny. Siostrę Gilbey poruszył do głębi wygląd jego twarzy, ale pielęgniarskie doświadczenie podpowiedziało jej, że po pewnym czasie skóra zregeneruje się tak, że ślady oparzenia znikną.

- Zachary West - powiedziała cicho, zaglądając do jego karty choroby. - Lat trzydzieści cztery. Doktor Hallows mówi, że to silny mężczyzna i powinien się z tego wylizać. Ciekawa jestem, jakim będzie pacjentem?

- Niełatwym - orzekła towarzysząca choremu pielęgniarka z Oddziału Intensywnej Terapii. - Kiedy przez chwilę był przytomny, klął, że aż wstyd powtórzyć.

- Nic nadzwyczajnego - skomentowała obojętnie Luisa.

- Zrobił na mnie wrażenie rozwścieczonego do białej gorączki.

Myślę, że jeśli dostanie w swoje ręce tego faceta, który spowodował wypadek, to mu nie przepuści - nie ustępowała jej koleżanka.

- Dziękuję, siostrze. Proszę już wracać na swój oddział - pożegnała ją Luisa ze skonsternowaną miną.

Po umieszczeniu nowego pacjenta na oddziale wróciła do gabinetu. Nie lubiła pracy biurowej. Wolała mieć bezpośredni kontakt z pacjentami i czasami trochę żałowała swojego awansu na stanowisko siostry oddziałowej.

Przed świtem ruszyła na drugi obchód. Anthea Carter siedziała przy Zacharym Weście i co godzinę badała mu tętno oraz mierzyła temperaturę. Luisa przejrzała wyniki. Stwierdziła, że nie dzieje się nic złego.

- Czy odzyskiwał przytomność?

- Kilka razy myślałam, że tak...

Ich głosy musiały zakłócić spokój pacjenta, bo nagle uniósł obolałe powieki, ukazując szkliste z powodu gorączki oczy, i jęknął. Dla Luisy ten jęk zabrzmiał jak zduszony krzyk. Usłyszała w nim bezsilną złość i ból. Pochyliła się nad Zacharym Westem i zaczęła go uspokajać łagodnym głosem. Wiedziała, że najłżejszy dotyk oznaczałby dla niego straszliwą męczarnię.

- Co mi zrobiliście? - spytał z nienawiścią.

- Troszczymy się o pana, panie West. Proszę być dobrej myśli.

- Zostaw mnie w spokoju! - warknął tak, że aż cofnęła się jak przed ciosem.

- Siostrze, zastrzyk! - zwróciła się do Anthei.

W chwilę później już spał, a ona z ciężkim westchnieniem wróciła do gabinetu. Drżącymi palcami wykręciła numer telefonu i zadzwoniła na inny oddział.

- Cześć, Beth. Mówi Luisa. Jak on się czuje?

- Bardzo dobrze. Nie martw się. To tylko szok i kilka siniaków. Sądzę, że jutro zostanie wypisany ze szpitala. Czy przyjdiesz go odwiedzić?

- Tak. Trochę później.

Odłożyła słuchawkę i ze złością otarła łzy, które nagle napłynęły jej do oczu.

Zachary West był uwięziony w pierścieniu ognia. Płomienie strzelały do góry, parząc mu skórę, a odłamki rozpryskujących się szyb furgonetki raziły go niczym ostrza sztyletów. Ta scena wciąż dręczyła go w koszmarach, podobnie jak obsesja, że jest ślepy. Lecz czasami zjawiała się ona. Unosiła się w powietrzu jasna i lekka niczym biały ptak. I samą swoją obecnością uspokajała go i koła ból. Przywoływał ją ze środka płonącego kręgu, a ona z wolna wyłaniała się z półmroku i patrzyła na niego. Dziewczyna o długich, ciemnych włosach, fioletowych oczach i słodkiej twarzy. Troskliwa i delikatna. Wtedy ból mijał.

Gdy Zachary zmuszał się do otwarcia oczu, rozpaczliwie pragnąc zobaczyć ją na jawie, nigdy jej nie było. Widział tylko twarze innych, obcych ludzi, którzy przyglądali mu się w blasku żółtego, oślepiającego światła. Patrzył na nich ze złością i zastanawiał się, kim są. Usiłował ich zapytać, co się stało z dziewczyną w białej sukience, lecz nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Jedna z tych osób pochylała się nad nim i coś mówiła, ale jej nie słyszał. Miała bladą twarz i spojrzenie zakonnicy. Drażnił go jej wygląd. Te zaczesane do góry włosy, zasznurowane usta i oczy, które nie zdradzały żadnych uczuć. Zaszuszone dziewczyna - myślał pogardliwie.

Usiłował dowiedzieć się od niej, gdzie jest i co mu się stało, ale nie potrafił mówić głośno i wyraźnie. Wprawdzie zdobył się raz na wysiłek i zadał jej oskarżycielskie pytanie: „Co mi zrobiliście?“, odpowiedziała jednak tak cicho, że nie dosłyszał. Znieruchomiła, gdy posłał ją do wszystkich diabłów, i chwilę potem zwróciła się do drugiej dziewczyny. Poczł bolesne ukłucie. Spiorunował ją wtedy wzrokiem, próbując w ten sposób wymusić na nich wyjaśnienie, co to wszystko znaczy. Odeszły jednak bez słowa, a on znowu zapadł w gorączkowy sen. I znowu znalazł się w pierścieniu ognia, powalony przez ból. Nagle pojawiła się ona, dziewczyna w białej sukience. Obdarowała go tym swoim promiennym uśmiechem i udręka minęła. Próbując sobie jakoś wytłumaczyć jej obecność, doszedł do wniosku, że ona musi być aniołem, a wobec tego on już nie żyje.

W drodze do domu Luisa wstąpiła na Oddział Dwunasty. Zastała tam już siostrę przełożoną ze zmiany dziennej, która zastąpiła Beth.

- Oczywiście Beth Dawlish uprzedziła mnie, że siostra przyjdzie - przywitała ją siostra Jacobs. - Miło mi. Proszę do niego pójść, właśnie je śniadanie, ale z nocnego raportu wynika, że po południu będzie wypisany do domu. To z pewnością ogromna ulga dla siostry. Mogło być przecież o wiele gorzej. A jak czuje się pacjent, którego siostra przyjęła na swój oddział? Słyszałam, że jest straszliwie poparzony. Samochód się zapalił...

- Pan West dzielnie zniósł noc i czuje się tak, jak tego oczekiwaliśmy.

- Będzie chyba długo dochodził do zdrowia - powiedziała sceptycznie siostra Jacobs.

- Tak - przyznała z drzeniem Luisa. - Nie będę już przeszkadzać...

Szybko weszła na oddział, zmierzając prosto do pacjenta, który siedział na łóżku. Miał pobladłą twarz i tępo patrzył w ścianę, ale gdy tylko się zbliżyła, natychmiast skierował na nią wzrok.

-Luiso... Czy...czy on... - wyjąkał, zaciskając dłonie.

- Żyje - odpowiedziała słabym, bezbarwnym głosem. - Nie zadręczaj się tak. On wraca do życia, tato.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Po nocnym dyżurze Luisa przespała kilka godzin. Czuła się nie najlepiej, więc postanowiła trochę się przewietrzyć, zwłaszcza że była piękna, słoneczna pogoda. Jej niewielkie, dwupokojowe mieszkanie znajdowało się bardzo blisko szpitala i centrum handlowego w Whinbury. Zjadła lekki posiłek i wyszła do miasta po zakupy. Miała już wracać do domu, gdy niemal zderzyła się z jasnowłosą młodą kobietą, która wyraźnie się śpieszyła.

- Aaa... To ty! - przywitała Luisę nieprzyjaznym tonem i spojrzała na nią ze złością.

- Dzień dobry, Noelle - pozdrowiła ją równie chłodno Luisa. - Czy ojciec wrócił już do domu?

- Wrócił! I musiałam go sama odebrać, bo szpital nie zechciał dać karetki.

- Karetki są bardzo przeciążone pracą... - zaczęła wyjaśniać Luisa, ale wzburzona Noelle przerwała jej gwałtownie.

- Przecież zabrali go do szpitala karetką. A w drugą stronę to nie łaska? Ja nie mogę tak po prostu wyjść sobie z pracy, kiedy mi się spodoba. Akurat byłam umówiona w sprawie pewnego kontraktu i bardzo źle się stało, że musiałam przełożyć spotkanie. Należy tylko mieć nadzieję, że firma na tym nie straciła. Ta baba, która zadzwoniła ze szpitala, była nieprzejednana. Uparła się jak osioł, że ktoś musi przyjechać. Nie pojmuję, dlaczego on nie mógł wrócić taksówką albo dlaczego ty go nie odebrałaś. W końcu pracujesz przecież w tym szpitalu! I nie byłby to dla ciebie żaden

kłopot. Powiedziano mi, że poszłaś do domu, lecz gdy zadzwoniłam, jakoś nikt nie odebrał.

- Pracuję na nocnej zmianie. Muszę kiedyś spać - odpowiedziała spokojnie Luisa, choć wcale nie było jej łatwo się opanować. Była oburzona zachowaniem Noelle.

- Ja też ciężko pracuję, bo twój ojciec nie może teraz kierować firmą! - odparowała tamta. - A w ogóle, gdyby nie ja, zbankrutowalibyśmy w ciągu roku! Zaniedbywał firmę przez tyle lat...

- Firma to głupstwo. Powiedz lepiej, jak ojciec się czuje - przerwała jej bezceremonialnie Luisa. - Zostawiłaś go samego w domu? Kogoś tak wytrąconego z równowagi?

W tym momencie Noelle całkowicie już straciła panowanie nad swoimi kompleksami wobec córki Harry'ego Gilbeya.

- Tylko mnie nie pouczaj, co mam robić! - wybuchnęła. - Nie jestem już sekretarką twojego ojca, ale jego żoną, i nie zniosę dłużej twojego protekcyjnego zachowania!

- Nigdy się tak wobec ciebie nie zachowywałam! Ale wydaje mi się, że nie zdajesz sobie sprawy, jak groźny dla zdrowia może być szok... Chciałam ci tylko uświadomić medyczny punkt widzenia...

- Przestań! Nie jestem jedną z twoich pielęgniarek, które uciekają w popłochu, kiedy tylko kiwniesz palcem!

Luisa była zażenowana tą niepoohamowaną demonstracją antypatii ze strony macochy. Od dnia, w którym poznała Noelle jako nową sekretarkę ojca w ich fabryce, ta kobieta budziła w niej niepokój. Luisa czuła, że z jakiegoś powodu Noelle jej nie lubi. Nigdy nie przypuszczałyby, że Harry Gilbey zainteresuje się swoją nową sekretarką, choć Noelle była piękna.

Pomijając inne względy, był przecież starszy od niej o dwadzieścia lat! Toteż gdy oznajmił Luisie, że zaczął się umawiać z Noelle, była tak zaskoczona i przerażona, że nawet nie potrafiła tego ukryć. Jednak ze względu na ojca naprawdę starała się polubić jego narzeczoną i zaprzyjaźnić się z nią. Była od niej niewiele młodsza. Ale jej wysiłki spełzły na niczym. Noelle znienawidziła ją na dobre i jakiegokolwiek porozumienie okazało się niemożliwe. Od tamtego czasu nic się nie zmieniło.

-A poza tym - ciągnęła Noelle z pretensją w głosie - on wcale nie jest sam! Pani North właśnie sprząta dom i poprosiłam ją, by miała na niego oko. I wcale nie jest w łóżku. Leży na tapczanie i ogląda telewizję. Nie zauważyłam niczego niepokojącego. A jeśli nawet jest w szoku, zasłużył sobie na to. Jechał jak szalenciec! Mógł zabić tego człowieka!

- Jednak, Bogu dzięki, tak się nie stało! - odrzekła pobladła nagle Luisa. Noelle miała rację.

- Ale gdyby do tego doszło, byłaby to twoja wina! Gdybyś nie zadzwoniła do Harry'ego i nie zawracała mu głowy swoimi zachciankami, nie wyszedłby z przyjęcia i nie pędził na złamanie karku do domu! - wypowiadała jej macocha.

To też była prawda i Noelle triumfowała. Luisa wróciła teraz myślą do owego fatalnego wieczoru. Zadzwoniła do ojca, bo poczuła się boleśnie zawiedziona, a on bez chwili wahania opuścił przyjęcie, chcąc, mimo spóźnienia, być razem z nią. Gdyby jednak tego nie zrobił, nie doszłoby do wypadku i Zachary West nie leżałby teraz w szpitalu, bliski śmierci. Ojca zaś nie czekałby proces za niebezpieczną jazdę... Albo za coś znacznie

gorszego, gdyby jej pacjent zmarł. Na myśl o tym, co by się wtedy stało, przeszył ją zimny dreszcz.

- Zawsze byłaś rozpieszczona i samolubna!

Noelle nieubłaganie wciąż ją oskarżała. Luisa patrzyła na nią bez słowa i zastanawiała się, czy rzeczywiście macocha ma rację. Z pewnością nie powinna tracić panowania nad sobą tylko dlatego, że ojciec zapomniał o jej urodzinach i wyszedł z żoną na party. Ale przecież poczuła się tym tak strasznie dotknięta, choć ojciec był roztargniony i stale musiała mu przypominać o swoich urodzinach. Poza tym od jakiegoś czasu tak rzadko go widywała. Zadzwoiła do niego na tydzień przed tą ważną datą, lecz nie zastała go i przekazała wiadomość przez Noelle. Wiadomość nigdy do niego nie dotarła. Co więcej, macocha umyślnie wyciągnęła go w dniu urodzin Luisy na jedno z tych nie kończących się, oficjalnych przyjęć, za którymi zresztą przepadała. Była zdecydowana wykluczyć córkę Harry'ego Gilbeya z jego życia, a on sprawiał wrażenie, jakby zupełnie nie dostrzegał toczącej się o niego walki.

Luisa potrafiła wszakże spojrzeć na całą sytuację z punktu widzenia Noelle. Młodą żonę ojca musiało krępować posiadanie pasierbicy, która miała niemal tyle samo lat, co ona. To podkreślało różnicę wieku między nią a Harrym Gilbeyem. Noelle musiała też być zazdrosna o jego uczucia do córki. Niewątpliwie przypominały nowej żonie żonę poprzednią, a Luisa do złudzenia przypominała matkę. Anna Gilbey była piękną i pełną wdzięku kobietą, kiedy zmarła na atak serca w wieku czterdziestu lat. Przez kilka lat po jej śmierci Harry żył samotnie. Oczywiście Luisa rozumiała jego potrzebę powtórnego ożenku, nawet jeśli taki a nie inny wybór wzburzył ją i zaskoczył. Ale umiejętność spojrzenia na całą

sytuację z punktu widzenia Noelle wcale nie ułatwiała sprawy. Luisę zawsze łączyły bardzo bliskie więzy z ojcem. Nagle została ich pozbawiona i było to dla niej nie do zniesienia.

- Czy wiesz, że stracił prawo jazdy? Co najmniej na dwa lata, jak mówi prawnik - dręczyła Luisę Noelle. - Oczywiście nie będę mogła wozić go przez cały czas. Musi zatrudnić kierowcę, choć stale podkreśla, że z pieniędzmi jest krucho. Nie robił tego, gdy wychodziłam za niego za męża. Ale gdyby miał kierowcę, nie doszłoby do wypadku. W jego wieku nie ma się już dobrego refleksu.

- Co ty mówisz? Na litość boską, ojciec ma przecież dopiero pięćdziesiąt lat! - oburzyła się Luisa.

Uważała, że Noelle jest niesprawiedliwa, zwłaszcza że dotychczas stale podkreślała, jaki to Harry jest młody i pełen energii. W ciągu ostatniego roku jego tryb życia absolutnie to potwierdzał. Pracował ciężko, ale i dobrze się bawił, dotrzymując kroku swojej młodej żonie. Jeśli nie spędzał czasu na licznych służbowych i prywatnych przyjęciach, to grał w golfa z klientami firmy lub osobami, z którymi Noelle chciała go poznać.

- Nie jest już taki sprawny jak dawniej - powtórzyła z naciskiem Noelle.

- Może zbyt często chodzi na przyjęcia! To pochłania mnóstwo energii! - broniła ojca Luisa.

- Przestań mnie za to oskarżać, bo to nie moja wina! Dobrze wiesz, że prowadził bujne życie towarzyskie, zanim mnie poznał!

To też, niestety, była prawda. Luisa musiała przyznać, że jej ojciec uwielbiał towarzystwo, zwłaszcza ludzi młodych. Ta słabość bez wątpienia tłumaczyła, dlaczego poddał się urokowi stojącej przed nią

blondynki. Nie potrafił odmówić sobie szansy przeżycia drugiej młodości u boku kobiety, która utwierdzała go w przekonaniu, że wciąż jest młody. Luisa z ciężkim westchnieniem przyznała Noelle rację.

Dlaczego stale się kłócimy? Czy musimy to robić, zwłaszcza teraz, kiedy ojciec ma kłopoty? Potrzebuje nas obu... Spróbujmy się zaprzyjaźnić - zwróciła się do macochy pojednawczym tonem.

Piękna twarz Noelle pozostała jednak niewzruszona, a jej zielone oczy wciąż były pełne złości.

- Narobiłaś już dość zamieszania, więc po prostu zostaw nas w spokoju. Harry to teraz mój problem, a nie twój - powiedziała bez skrpułów.

Miała już odejść, gdy nagle sięgnęła do torebki i wyjęła z niej pogniecioną gazetę.

- Widziałaś to? - spytała na odchodnym, pozostawiając Luisę wpatrzoną w stronę gazety z wybitym tłustą czcionką tytułem artykułu: „Odwołany wernisaż” i zdjęciem Zacharego Westa.

Luisa, doszczętnie przybita, usiadła z gazetą w pobliskiej kawiarni. Zamówiła kawę i kanapkę, ale czytając artykuł zupełnie straciła apetyt. A więc skutki wypadku okazały się dla Westa jeszcze poważniejsze, niż mogła przypuszczać. Z artykułu wynikało, że jest on wziętym malarzem, o czym świadczyły wysokie ceny jego obrazów. Uległ wypadkowi wioząc namalowane w ciągu ostatnich czterech lat prace na wystawę organizowaną przez jedną z najlepszych londyńskich galerii. Zgodnie z tym, co mówił cytowany w gazecie właściciel galerii, wystawa zapowiadała się jako wielkie wydarzenie w londyńskim życiu artystycznym. Oczekiwano jej z tym większą niecierpliwością, że malarz

unikął pokazów, a pewnych płócien w ogóle jeszcze nie wystawiał.

Wszyscy byli ciekawi, jak zmienił się jego styl i technika. Tymczasem, co dramatycznym tonem stwierdzał właściciel galerii, świat nigdy się o tym nie dowie, bo wszystkie prace spłonęły w rozbitej furgonetce.

Luisa była przerażona. Gdy tylko weszła do domu, zadzwonił ojciec.

- Jak się czujesz? - przywitała go z troską.

- Czytałaś dzisiejsze gazety? - zapytał głuchym, roztrzęsionym głosem.

-Tato... Proszę... Nie...

- Co nie? - przerwał jej z goryczą. - Dlaczego uciekasz przed prawdą? Boże, kiedy pomyślę...

- Proszę, nie myśl o tym teraz. Wciąż jesteś w szoku - przekonywała go gorączkowo.

- Jak mam przestać o tym myśleć? Zrujnowałem człowieka, który tyle mógł dać światu... Genialnego artystę... Doprowadziłem go do takiego stanu...

-Tato, przecież on z tego wyjdzie, a kiedy wyzdrowieje, namaluje nowe obrazy. Jest jeszcze młody... A poza tym to moja wina.

- Twoja wina? O czym ty mówisz?

- Gdybym do ciebie nie zadzwoniła i nie robiła tego całego zamieszania, nie śpieszyłbyś się tak!

-To wcale ciebie nie obciąża. Ja prowadziłem, a poza tym wypłem trochę... Oczywiście nie przekroczyłem dozwolonego limitu. Policjanci mnie sprawdzali i wszystko było w porządku. Ostatecznie, nigdy w życiu nie byłem pijany. Jak wiesz, nie piję wódki. Ale pozwoliłem sobie na kilka kieliszków wina i z tego powodu miałem słabszy refleks. Poza tym

prowadziłem niebezpiecznie i za szybko wziąłem zakręt. Wjechałem na jego pas... To wszystko nie ma z tobą nic wspólnego. I byłem zdenerwowany, bo pokłóciliśmy się z Noelle... Zresztą, mniejsza o to. To wyłącznie moja wina, córeczko. W żadnym razie nie wolno ci się oskarżać.

Wyrzuty sumienia nie opuszczały jednak Luisy. Gdy wieczorem przyszła do szpitala, była tak spięta, że nie potrafiła nawet uśmiechnąć się do Mary Baker, siostry przełożonej ze zmiany dziennej.

- Co się stało? Nie wyglądasz dobrze - zareagowała na jej widok zaskoczona Mary.

- Wszystko w porządku. Mam tylko lekką migrenę - wykręciła się Luisa, bo nie zamierzała się zwierzać.

- Powiedz, jak minął dzień? Czy są jacyś nowi pacjenci? Wypisano kogoś?

- Pan West wkrótce odejdzie z naszego szpitala - poinformowała ją Mary.

Luisa otworzyła szeroko oczy.

- Odejdzie? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Pomknie do Londynu, by leczyć się dalej w prywatnej, specjalistycznej klinice. Coś mi się zdaje, że mamy na oddziale jakąś osobistość - zażartowała Mary.

- Dlaczego opuszcza nasz szpital? - zapytała Luisa, jakby nie dotarła do niej odpowiedź koleżanki.

- Widocznie jego agent uważa, że nie jesteśmy dostatecznie dobrzy, by leczyć tak ważną osobę. Chce przenieść go do kliniki, która zajmuje się przeszczepami skóry i chirurgią plastyczną. Zabraliby go już dzisiaj,

gdyby doktor Hallows nie zabronił. Powiedział, że stan pacjenta jeszcze na to nie pozwala. Po jutrzejszym obchodzie Hallows zadecyduje, kiedy przewiozą Westa do Londynu.

Luisę bardzo zaniepokoił ten pośpiech agenta. West leżał przecież pod kroplówką i przez cały czas podawano mu leki przeciwbólowe, w tym również narkotyki. Stała teraz przy łóżku tego ciężko poparzonego człowieka i patrzyła na jego twarz, która przypominała przerażającą maskę. Wiedziała, że będzie musiał żyć z taką twarzą przez wiele miesięcy, zanim będzie mógł poddać się operacji plastycznej. Ze zdjęcia zamieszczonego w gazecie wynikało, że to przystojny mężczyzna, ale teraz wyglądał strasznie. Na szczęście miał silny organizm. W przeciwnym razie nie przeżyłby tego wypadku. Pierwsze słabe oznaki poprawy były już widoczne.

Nagle podniósł powieki. Luisa spojrzała w jego szare oczy, które błyszczały niczym srebro i miały rozszerzone źrenice, i natychmiast, zgodnie z obowiązkiem pielęgniarki, pochyliła się nad nim z troską.

- Jak pan się czuje? - spytała łagodnie.

Zachary West nawet się nie pofatygował, by jej odpowiedzieć. Z bolesnym wysiłkiem poruszył jedynie opalonymi brwiami. Mgliście ją pamiętał. To była ta sama kobieta, blada i zimna, która już wcześniej stała przy nim. Nie wiedział jednak, kiedy dokładnie to było, bo stracił poczucie rzeczywistości. Zdawał sobie sprawę tylko z tego, że na przemian budzi się i zasypia i że przerwy pomiędzy jawą a snem są krótkie oraz pełne bólu. Nie orientował się, gdzie jest ani co się z nim dzieje. Wiedział tylko tyle, że pewnego dnia, kiedy prowadził samochód, jego życie nagle się

zatrzymało, i że od tej chwili czuje potworny ból. Wolał być nieprzytomny, bo mniej wtedy cierpiał.

- Jestem pielęgniarką. Opiekuję się panem, panie West. Jak pan się czuje? ponowiła pytanie Luisa.

Miała miły, ciepły głos, który powinien działać uspokajająco, ale jego ten głos drażnił. Dlaczego traktuje mnie jak dziecko, zastanawiał się. Nagle poczuł straszliwe pragnienie.

- Pić...

Wypowiedział to słowo z ogromnym trudem, ale musiała usłyszeć, bo natychmiast delikatnym ruchem włożyła mu słomkę do ust. Wciągał wodę powolutku i gdy zaspokoił pragnienie, zamknął oczy.

- Czy bardzo pana boli? - spytała.

Ponownie uniósł powieki, by spojrzeniem okazać tej kobiecie wzgardę. Pytanie wydało mu się całkowicie niestosowne. Szybko jednak zapadł w sen. Wtedy pojawiła się ona. Już na niego czekała. Dziewczyna z rozwianymi, czarnymi włosami i promiennym uśmiechem, który sprawiał, że krew szybciej płynęła w jego żyłach. Zachary przybliżył się do niej, uśmiechał i czuł przyśpieszone bicie serca.

Następnego dnia po raz pierwszy odzyskał na dłużej przytomność. David Hallows nareszcie mógł porozmawiać z nim podczas obchodu.

- Pański agent życzy sobie, by przewieziono pana do londyńskiego szpitala, który leczy obrażenia skóry. Bardzo żałuję, ale teraz nie mogę się zgodzić na tak długi przejazd, mimo że stan pana zdrowia bardzo się już poprawił i jestem absolutnie przekonany, że bardzo szybko wyjdzie pan z tego.

- Rozumiem - odpowiedział West obojętnie, jakby ta wiadomość nie zrobiła na nim żadnego wrażenia.

- Robimy wszystko, co w naszej mocy, by panu pomóc i by czuł się pan tu dobrze - zapewniał go Hallows z przyjaznym uśmiechem.

- Byłem za mocno naszpikowany narkotykami, by to dostrzec - odrzekł West bardziej ożywionym głosem.

Lekarz roześmiał się.

- Musieliśmy na początku podawać panu narkotyki, by nie ruszał się pan za bardzo i by osłabić skutki szoku. Od dziś zaczniemy zmniejszać dawkę. Ale chyba nie sądzi pan, że zamierzaliśmy wpędzić pana w nałóg? - zażartował.

- I tak nic by z tego nie wyszło. Nie znoszę sytuacji, w których tracę kontrolę nad swoim umysłem - odpowiedział ponuro West.

-Tak. Bardzo się cieszę, że tak szybko powraca pan do zdrowia. Odwiedzę pana jutro, trochę wcześniej niż zwykle, bo to sobota. Proszę trzymać kciuki, żebym przynajmniej raz miał spokojny weekend! - rzucił na pożegnanie znów roześmiany Hallows.

W szarych oczach Zacharego rozbłysły słabiutkie iskiereczki rozbawienia.

- W mojej sytuacji byłoby to raczej trudne - odpowiedział ponurym żartem.

- Racja - przyznał zaskoczony jego poczuciem humoru David. Ręce Zacharego Westa były przecież boleśnie poparzone.

Po zakończeniu obchodu David Hallows zatrzymał się na chwilę w gabinecie Luisy.

- Mam wielkie uznanie dla tego człowieka. Jest bardzo dzielny. Leczyłem kiedyś pacjenta, który ani w połowie nie był tak poparzony jak on, a bezustannie histeryzował. Jeśli Zachary West potrafi żartować, będąc w takim stanie, to znaczy, że ma bardzo silny charakter. Ja na jego miejscu z pewnością nie potrafiłbym zachowywać się tak mężnie. Kiedy miałem dziesięć lat, mój ojciec został ciężko poparzony podczas eksplozji w zakładach chemicznych. Potem przez całe lata prześladował mnie w snach jego widok, przy czym zawsze wydawało mi się, że pod bandażami jestem ja sam. Nigdy tego nie zapomnę. Dlatego mam uczulenie na oparzenia skóry, których ofiarą padł Zachary West, a rodzinne przeżycia prawdopodobnie sprawiły, że operacje skóry wybrałem jako swoją specjalizację.

- Wyobrażam sobie, jaki to musiał być dla ciebie wstrząs, zwłaszcza że byłeś dzieckiem - powiedziała ze współczuciem Luisa, bardzo przejęta tym nieoczekiwanym wyznaniem, które powiedziało jej tyle nowego o Davidzie.

Widać było, że jest wzruszony jej reakcją, ale roześmiał się tylko i wstał z krzesła.

-Tak... Czas na mnie... Nie jestem w tej chwili potrzebny, więc pójdę się przespać do domu. Zobaczymy się jutro. Czy nie zapomniałaś, że umówiłaś się ze mną na jutrzejsze tańce?

- Oczywiście, pamiętam. Nie tańczyłam wieki całe, a przecież to uwielbiam. Postanowiłam nawet kupić sobie z tej okazji nową sukienkę! - potwierdziła Luisa, uśmiechając się do niego.

- Z okazji spotkania ze mną? Bardzo mi to pochlebia! - wykrzyknął David.

W sobotnie popołudnie rzeczywiście kupiła sobie nową sukienkę. Była uszczęśliwiona, bo w najelegantszym sklepie w Whinbury znalazła dokładnie taką, o jaką jej chodziło. Uszyta z ciemnobłękitnego jedwabiu, idealnie harmonizowała z kolorem jej oczu. Sukienka była długa, z przodu głęboko wycięta, a z tyłu ozdobiona koronkową krezą w tym samym kolorze. U dołu wykańczały ją trzy zakładki z blad różowej koronki, a jasnoróżowa, jedwabna róża zdobiła talię.

- Prawda, że ta sukienka ma w sobie coś ze stylu wiktoriańskiego? - zagadnęła Luisa młodzieńca ekspedientka. - Pani fryzura pasuje do niej. Ten kocyk jest bardzo szycowny. Oczywiście w czasach królowej Wiktorii modne były też loczki. Ale nosiły je chyba głównie podlotki, nie zaś dojrzałe kobiety.

Luisa roześmiała się, lecz wcale nie w smak była jej ta uwaga. Jak mogła przypuszczać, ekspedientka nie miała nawet dwudziestu lat, więc ją, kobietę dwudziestosiedmioletnią, musiała uznać za matronę. Siostra Gilbey poczuła się tak, jakby nagle przybyło jej lat. Jednak na przekór uwadze ekspedientki pomyślała, że dwadzieścia siedem lat to nie jest dużo.

Dlaczego więc nie miałyby sobie zrobić loczków? Oczywiście wiktoriańskich!

Po powrocie do domu zaczęła przygotowywać się do spotkania z Davidem. Wykąpała się, umyła włosy i zakręciła je elektryczną lokówką. Gdy jednak stanęła przed lustrem w nowej sukience i fryzurze, była skonsternowana, bo wyglądała absolutnie inaczej niż zwykle. Wydawało jej się, że loczki ją ośmieszają, i zastanawiała się, czy ich nie rozprostować. Ale nadszedł David.

- Luiso? To ty? Wielkie nieba! Z trudem cię rozpoznałem. Ta fryzura... - powiedział na jej widok szczerze zaskoczony.

- Wyglądam strasznie? Nie wiem, jakie licho mnie podkusiło, by to zrobić! Ale... - jęknęła.

- Wyglądasz wspaniale! Te loczki znakomicie pasują do sukienki. Muszę ci powiedzieć, że jesteś niezwykle seksowna!

Roześmiała się. Jednak ostatnia uwaga sprawiła, że oblała się rumieńcem. David, który trzymał ją delikatnie za rękę, uśmiechając się do niej ciepło, natychmiast na to zareagował.

- Również z tymi rumieńcami wyglądasz bardzo seksownie - powiedział.

- Stoisz sobie ze mnie żarty, Davidzie! - wykrzyknęła i zarumieniła się jeszcze bardziej.

- Nie żartuję. Naprawdę tak uważam. Gdy się rumienisz, wyglądasz bardzo kobieco. Mam wtedy poczucie, że potrzebujesz, by ktoś się o ciebie troszczył...

-W dzisiejszych czasach? - spytała z niedowierzaniem.

- Och! - zachnął się lekko David. - Wiem, że to staromodne... Otwieranie drzwi kobiecie, wstawanie, gdy ona wchodzi do pokoju... Zgadzam się, że w dzisiejszych czasach może to nawet śmieszyć. Ale ja jestem staromodny. Chcę dostrzegać różnicę pomiędzy mężczyzną a kobietą. Nie widzę powodu, by się tego wypierać.

- Ja też nie widzę - odpowiedziała z uśmiechem. Pracowała z nim dostatecznie długo, by wiedzieć, że nie jest mężczyzną, który pomiata kobietami. A ją obdarzał szacunkiem i naprawdę uważał za partnerkę.

- To właśnie twoja kobiecość pociągała mnie w tobie od początku - wyznał David, odwzajemniając uśmiech.

Spojrzała na niego zaskoczona. Znali się od tak dawna, lecz powiedział jej to po raz pierwszy. Często zastanawiała się, dlaczego w wieku trzydziestu pięciu lat doktor Hallows wciąż jest kawalerem. Bardzo podobał się pielęgniarce i spotykał się z różnymi dziewczynami, ale do małżeństwa nie dochodziło. Zawsze był swobodny i bezpośredni, nawet w stosunkach służbowych, co nie zdarzało się często wśród starszych chirurgów. Jako chirurg, musiał poświęcać pracy wiele czasu i energii. Czyżby to stawało zawsze na przeszkodzie, zastanawiała się Luisa, patrząc teraz z podziwem na Davida, bo w eleganckim, ciemnym garniturze i białej koszuli prezentował się zupełnie inaczej niż zwykle. Wyglądał wręcz dystyngowanie, co stanowiło całkowite zaprzeczenie charakterystycznego dla doktora Hallowsa luzu.

- Luiso, czy chcesz mi dać do zrozumienia, że powinienem zostawić cię w spokoju, skoro w istotach płci pięknej podoba mi się kobiecość? - zażartował, przerywając jej zamyślenie.

Roześmiała się i potrząsnęła głową, a on mocniej ścisnął jej dłoń. Przyciągnął Luisę bliżej do siebie. Uniosła głowę, a David pochylił się, by ją pocałować.

Nagle usłyszeli dźwięk, telefonu. Zastygli w bezruchu, spoglądając na siebie i śmiejąc się.

- Nie odbieraj! - wykrzyknął David.

- Muszę! - upierała się Luisa. - To może być mój ojciec.

Ale to był telefon ze szpitala, do Davida. Ubrana już w czarny, aksamitny zakiet i gotowa do wyjścia, spoglądała na niego z obawą. Z

żalem pomyślała, że jeśli wzywają go na salę operacyjną, to oczywiście z ich wspólnego wieczoru będą nici.

- Jeden z moich pacjentów czeka od trzech dni na operację - zaczął wyjaśniać David z niezadowoloną miną po odłożeniu słuchawki. - Wciąż się z tym wstrzymywaliśmy, bo nie był w najlepszej kondycji. I właśnie dzisiaj doszli do wniosku, że można go już operować. Jednak Colin Dawkins nie chce polegać tylko na swojej opinii. Prosi, bym wpadł do szpitala, obejrzał pacjenta i wypowiedział się w tej sprawie.

-I oczywiście wolałby, żebyś to ty przeprowadził operację?

- Można się po nim tego spodziewać, bo zawsze boi się podejmować ryzyko.

- A więc nie pójdziemy potańczyć?

- Nic podobnego! Z pewnością pójdziemy, lecz najpierw wpadniemy na chwilę do szpitala. Obejrzę pacjenta i zadecyduję, czy Colin powinien go dzisiaj operować, czy też nie.

- Może byłoby jednak lepiej poczekać z tym do jutra?

-To świetny pomysł, ale może właśnie dzisiaj nadszedł stosowny moment. Zobaczę.

Rozdzielili się w szpitalu, bo Luisa wolała poczekać na niego na swoim oddziale i przy okazji wypić kawę z siostrą Helen Jenkins. Na jej widok Helen popukała się w czoło.

- Czy ty naprawdę nie możesz wytrzymać bez szpitala? - spytała roześmianą Luisę.

- Davida wezwano do pacjenta, a ja postanowiłam tu na niego poczekać. Nie odmówisz mi chyba filiżanki kawy?

- Usiądź w gabinecie. Zaraz tam będę - odpowiedziała Helen z miną, która zdradzała, że ma wielką ochotę porozmawiać.

- Jaka szalowa sukienka - stwierdziła z zachwytem młoda pielęgniarka.

- Dziękuję. Jest nowa. Mam ją na sobie po raz pierwszy.

- I znakomicie siostrze w tej fryzurze.

Luisa zauważyła, że również Helen wpatruje się w jej wiktoriańskie loczki.

- Nigdy dotąd nie widziałam cię w takim uczesaniu - powiedziała w końcu.

- Bo uczesałam się tak po raz pierwszy w życiu. I nie sądzę, bym to jeszcze kiedykolwiek zrobiła - odrzekła zmieszana Luisa.

- Ależ wygląda siostra ślicznie! - Młoda pielęgniarka nie miała najmniejszych wątpliwości.

Helen również z aprobatą skinęła głową.

- Mnie też się podoba. Z pewnością wyglądasz w niej inaczej niż zwykle - poparła swoją podopieczną.

Zarumieniona Luisa podziękowała za komplementy i miała już wejść do gabinetu, gdy nagle usłyszała czyjś słaby głos. Popatrzyła w tę stronę sali, gdzie leżał Zachary West, i zauważyła, że jest trochę przesunięty na łóżku. Podeszła do niego. Okazało się, że ma otwarte oczy.

- Czy wzywał pan pielęgniarkę, panie West? - spytała, pochylając się nad nim.

Wpatrywał się w nią w milczeniu.

- Wydawało mi się, że słyszałam, jak pan wzywa... Nawet nie dokończyła, bo zamknął oczy.

- Teraz wszystko rozumiem - powiedział niewyraźnie do siebie.

Pochyliła się nad nim jeszcze bardziej, by zorientować się, co on mówi.

- Wariuję - szepnął prawie niedosłyszalnie, z trudem wydobywając słowa z obolałych ust. - Naprawdę wariuję! Boże, ratuj.

Znowu otworzył oczy i wzdrygnął się, gdy zobaczył ją tuż nad swoją twarzą.

- Co mogę dla pana zrobić? - spytała z łagodnym uśmiechem, sądząc, że w ten sposób trochę go uspokoi.

- Odejdź stąd! Na miłość boską, odejdź stąd, bo nie zniosę tego dłużej! Zejdź mi z oczu! - wybuchnął.

Była tym tak poruszona, że bez słowa zastosowała się do obraźliwego dla niej życzenia pacjenta. Zdziwiła się jednak, gdy poczuła w oczach łzy. Przecież on nie jest w stanie opanować swoich reakcji, jest bardzo chory! To nie pierwszy pacjent, który beszta cię Bóg jeden wie z jakiego powodu! Więc dlaczego właśnie nad nim tak się rozczulasz, perswadowała sobie swoje niezrozumiałe poruszenie stanem zdrowia Zacharego Westa.

Wyszła do gabinetu i zaczęła parzyć kawę dla siebie i Helen, gdy zadzwonił David.

- Możemy iść? - spytał.

- Oczywiście. Co z twoim pacjentem?

- Jeszcze nie czas na operację. Spotkamy się zaraz w samochodzie.

Luisa przeprosiła siostrę Jenkins, że nie wypije z nią kawy, i umówiły się, że wróci na oddział koło drugiej.

Baw się dobrze, ale się nie spóźnij! - pożegnała ją Helen z uśmiechem.

Przechodząc przez oddział, zerknęła dyskretnie w stronę łóżka Zacharego Westa. Wydawało się, że zasnął. Westchnęła i poszła szybko do samochodu.

Tak jak przypuszczali z Davidem, ich przyście na uroczysty bankiet środowiska lekarskiego, zorganizowany w najelegantszym hotelu w Whinbury, wywołało pewną sensację. Oczywiście widywano ich razem na mieście, ale pokazanie się na tak ważnym, oficjalnym przyjęciu odebrane zostało jednoznacznie - zaczęto ich traktować jak parę.

- Kiedy będziesz wybierała drużny na wesele, pomyśl też o mnie! - powiedziała do Luisy spotkana w toalecie przyjaciółka.

- Daj nam trochę czasu. Umawiamy się zaledwie od kilku miesięcy. Nie myśleliśmy jeszcze o małżeństwie! - odparła z irytacją.

- Mogę się założyć, że tak się to właśnie zakończy! - nie ustępowała rozchichotana Jane Dorset. - Przynajmniej jego intencji jestem całkowicie pewna. Widziałam, jak na ciebie patrzy.

Luisa dostała wypieków. Łatwość, z jaką się rumieniła, traktowała jako prawdziwe utrapienie. David mógł uważać to za bardzo kobiece, ale inni jawnie się z niej podśmiewali.

Bankiet skończył się o wpół do drugiej i wkrótce byli znowu pod szpitalem.

- Dobrze się bawiłaś? - spytał David, zanim Luisa zdążyła wysiąść z samochodu.

- Cudownie! Dziękuję, Davidzie. Gdybym jeszcze nie musiała wracać do pracy! - odpowiedziała z rozpromienioną twarzą.

- Ja też bawiłem się wspaniale. Gdybyś miała wolną resztę nocy, moglibyśmy lepiej się poznać... - zaczął ujmującym głosem David i uśmiechnął się, bo twarz Luisy znowu ozdobił rumieniec. - Jesteś taka śliczna.

Głos Hallowsa był teraz przytłumiony. Przez chwilę delikatnie gładził Luisę po policzku, po czym odwrócił jej twarz ku swojej. Ich usta spotkały się, a ona zamknęła oczy. Jednak jakoś nie potrafiła się poddać namiętnym ustom Davida. W głębi siebie pozostała zimna i mimowolnie odsunęła się od niego, choć wcale nie chciała go odepchnąć. Uwolnił ją z uścisku i spojrzał na nią zawiedzionym wzrokiem.

- Zdaje się, że wybrałem niewłaściwy moment? - spytał po chwili.

- Przepraszam, Davidzie. Po prostu nie jestem w odpowiednim nastroju... Myślę, że powinnam już wrócić do pracy...

- Nie ma sprawy. Jak mawiają: Co się odwlecze, to nie uciecze... Dobranoc - powiedział na pożegnanie i miło się uśmiechnął.

Rozpoczynając dyżur sprawdziła najpierw, jak czuje się Zachary West. Spał, więc stała przy łóżku, patrząc na niego i próbując zrozumieć siebie. Chęć zobaczenia go jak najszybciej i bycia przy nim nie opuszczała jej ani na chwilę podczas bankietu. Była tam z Davidem, ale jej myśli stale krążyły wokół tego obcego, agresywnego mężczyzny, który budził w niej niepojęte uczucia.

Leżał na jej oddziale jeszcze tylko przez następny tydzień, oczekując na decyzję Davida w sprawie przewiezienia do specjalistycznego szpitala w Londynie. Luisa pragnęła z całej duszy, by David wyraził zgodę jak najszybciej; sądziła, że poczuje się lepiej, gdy nie będzie tu już Zacharego Westa. Jednak w miarę jak zbliżał się moment podjęcia przez lekarza tej

decyzji, była coraz bardziej nieswoja. I za każdym razem, gdy wieczorem po przyjściu na dyżur zastawała Zacharego Westa na oddziale, czuła niezrozumiałą ulgę. W końcu jednak dwunastego dnia po wypadku, jego łóżko zajął inny pacjent. Przystanęła, wpatrując się w to miejsce, i ogarnęła ją fala zimna. Natychmiast jednak otrząsnęła się z tego dziwnego stanu. Pomyślała, że, dzięki Bogu, powróci wreszcie do normalnego życia i zapomni o niejakim Zacharym Weście.

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

Minęło kilka miesięcy, zanim Luisa Gilbey usłyszała ponownie o pacjencie, który nazywał się Zachary West. Ale myślała o nim czasami. Przypominał jej się w najbardziej nieoczekiwanych chwilach. I za każdym razem obraz tego mężczyzny bardzo ją poruszał. Nie rozumiała, dlaczego tak się działo, bo przecież go nie kochała, ba, wręcz go nie lubiła. Należał do trudnych pacjentów, a intuicja podpowiadała jej, że nawet ciesząc się doskonałym zdrowiem Zachary West potrafi być szorstki i bezceremonialny. Dużo powiedziało jej na ten temat jego zdjęcie, które widziała w gazecie. Również z artykułu wynikało, że trudno było go lubić. Tym bardziej więc drażniło ją, że nie potrafi o nim zapomnieć.

Jej ojciec w ogóle nie mówił ani o nim, ani o wypadku. Ciągle jeszcze nie odbyła się rozprawa sądowa i Harry Gilbey wolał o niej nie myśleć. Luisa rozumiała stan jego ducha.

Spotykała się z Davidem, gdy tylko czas im na to pozwalał, a to znaczy, że spotykali się rzadko. Powodem była praca, szczególnie w jego przypadku. Teraz lepiej rozumiała, dlaczego się dotychczas nie ożenił. Po prostu nie miał na to czasu. Był tak pochłonięty swoimi zajęciami, że jeśli akurat nie pracował, to mówił o pracy, a jeśli pracował, angażował się tak bardzo, że zapominał o całym świecie. Jednak Luisie to nie przeszkadzało. Przeciwnie, ich pełen spokoju i zrozumienia związek całkowicie jej wystarczał i, jak sądziła, odpowiadał również Davidowi. Nie pragnęła namiętnej przygody miłosnej, a ponadto doktor Hallows wyróżniał się właśnie tym, czego oczekiwała od mężczyzny - taktem i umiarem. Toteż i z tego powodu było dla niej zagadką, dlaczego nie potrafi pozbyć się

Zacharego Westa ze swoich myśli. Nie należał przecież do opanowanych i rozsądnych mężczyzn, których do tej pory wybierała. Był żywiołowy jak hulający nad wrzosowiskiem wiatr lub pełna błyskawic i piorunów burza. Jak wszystko, czego nie można przewidzieć i kontrolować. A ona zawsze bała się burzy i nienawidziła wichury. Zachary West niepokoił ją w taki sam sposób.

Tuż przed Bożym Narodzeniem zadzwonił ojciec. Pytał, jak Luisa spędzi święta, więc powiedziała mu, że dopiero po świętach będzie miała kilka dni urlopu. Chciał o tym porozmawiać i zaprosił ją na kolację. Umówił się z nią sam, bez Noelle, z czego była bardzo zadowolona. Miała akurat wolny dzień po nocnym dyżurze, więc spotkali się o wpół do ósmej w „Czereśniowym sadzie”, nowej restauracji w Whinbury. Była tu już wcześniej z Davidem i stwierdziła, że mają znakomitą kuchnię.

Włożyła niebieską, wełnianą sukienkę, która podobała się ojcu. Gdy weszła do restauracji, okazało się, że czeka już na nią. Obrzuciła go przelotnym spojrzeniem i stwierdziła, że, jak zwykle, Harry Gilbey jest w świetnej formie. Codziennie pływał i grał w tenisa, miał więc wciąż szczupłą, wysportowaną sylwetkę. Uderzyło ją tylko, że ostatnio posiwiwały mu skronie. Jednak na pierwszy rzut oka wcale nie wyglądał na pięćdziesięcioletniego mężczyznę, ubrany w modnie skrojony garnitur, taki, jakie noszą ludzie młodzi. Trochę posmutniała na myśl, że z takim uporem próbuje zachować młodość. Był jej ojcem i kochała go. Bolało ją, że Harry Gilbey tak angażuje się w beznadziejną walkę z czasem, że tak desperacko pragnie ukryć swój wiek.

Na widok Luisy podniósł się z fotela i przywitał ją całusem.

- Ślicznie wyglądasz, kochanie - powiedział, szczerze zachwycony jej wyglądem.

-Dziękuję, tato. Ty też wyglądasz znakomicie - odwzajemniła komplement.

- Dziękuję - odpowiedział, siląc się na swobodny uśmiech. - Usiądziemy od razu przy stoliku czy najpierw wypijemy coś przy barze?

- Chodźmy na drinka - zdecydowała, bo miała nadzieję, że kieliszek alkoholu pomoże mu otworzyć się przed nią.

Poprosiła o białe wino, a on o whisky. Zamówili też coś do jedzenia.

- Luiso, powód, dla którego chciałem porozmawiać z tobą... o świętach... jest... taki... - zaczął ojciec z wypiekami na twarzy, unikając przy tym jej wzroku.

Zesztywniała, bo doszła do wniosku, że wie, co on chce jej powiedzieć. Przerwała mu pytaniem:

- Noelle nie życzy sobie, bym spędziła z wami święta? - powiedziała ze ściśniętym gardłem.

- Ależ zupełnie nie o to chodzi, kochanie! - zaprzeczył gwałtownie. Roześmiała się.

- Tato, spójrzmy prawdzie w oczy. Przecież Noelle chce, bym zniknęła z twojego życia. I może dla twojego dobra powinnam to zrobić.

- To byłoby dla mnie prawdziwe nieszczęście. Nigdy tak nie mów! - zaproponował kategorycznym tonem.

Pojednawczym gestem dotknęła jego dłoni, choć ani na jotę nie zmieniła zdania na temat stosunku Noelle do niej i do ojca.

- Przepraszam, tato. Cofam to, co powiedziałam, ale nie kłopotcz się tym, jak spędzę święta. Już ci mówiłam przez telefon, że prawdopodobnie będę miała dyżur w szpitalu.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, po czym Harry Gilbey zaczął wyjaśniać jej, o co chodzi.

-Widzisz... Noelle chce, żebyśmy spędzili święta w Szwajcarii. Jej przyjaciele, którzy też się tam wybierają, znają ponoć jakieś cudowne miejsce w Alpach. Jeśli będzie śnieg, chcielibyśmy pojeździć trochę na nartach.

- Świetny pomysł - odpowiedziała szczerze. Sama kiedyś wyjeżdżała z ojcem w Alpy szwajcarskie lub austriackie. Uwielbiała te góry i jazdę na nartach, nie mówiąc już o życiu towarzyskim, jakie się tam toczyło.

- Tak, jeśli tylko... Bardzo chciałbym, żebyś i ty pojechała, ale...

- Może innym razem, tato... - weszła mu w słowo z udawaną swobodą.

W tym momencie kelner poinformował, że właśnie podano dla nich kolację. Gdy przechodzili do stolika, Luisa zmieniła temat, opowiadając ojcu, ile kłopotów sprawia im na oddziale nowa pacjentka, bardzo despotyczna, starsza pani. Wspomniała przy tej okazji o Davidzie, a wtedy ojciec popatrzył na nią badawczo.

- Czy twoja znajomość z tym lekarzem to poważna sprawa? - zapytał ku jej zaskoczeniu.

Oblała się rumieńcem. Na ten widok Harry Gilbey roześmiał się, ale nie ustąpił.

- Tak czy nie? - ponowił pytanie.

- Bardzo lubię Davida, ale na razie nie bierzemy pod uwagę małżeństwa, jeśli o to ci chodzi.

- Które z was nie bierze tego pod uwagę? - drażył dalej, próbując równocześnie wyczytać coś więcej z jej twarzy, bo był pewny, że Luisa jest zakochana. W wyrazie jej oczu i ust dostrzegł jakieś podszyte smutkiem rozmarzenie. Zdawało mu się, że jej błękitne oczy pociemniały, a linia ust zdradza pełną tęsknoty zadumę. I poczuł nagle złość do Davida Hallowsa. Pomyślał, że jeśli ten mężczyzna zwodzi i wykorzystuje jego córkę, to on się z nim rozprawi!

Luisa roześmiała się na widok wyrazu jego twarzy, trochę zniecierpliwiona tym śledztwem.

- Po prostu oboje jesteśmy zbyt zajęci, by myśleć o ślubie. Może w przyszłości zdecydujemy się na to, ale teraz zarówno dla mnie, jak dla niego najbardziej liczy się praca.

- Wiem, że masz ambicje zawodowe, ale przecież możesz pogodzić je z małżeństwem! Luiso, czyżbyś nie chciała mieć dzieci? Tak wspaniale sobie z nimi radzisz. Przysiągłbym, że je kochasz - perswadował ojciec z zawieszoną miną.

- Chciałabym mieć dzieci - odpowiedziała z tym dziwnym rozmarzeniem na twarzy. - Ale... przecież nie muszę się z tym tak śpieszyć...

- A może po prostu David nie jest odpowiednim mężczyzną dla ciebie? - spytał tak, jakby myślał na głos. - Gdy kobieta zakochuje się w wymarzonym mężczyźnie, wtedy chce go jak najszybciej poślubić i założyć rodzinę.

- Och, tato! Jaki ty jesteś staroświecki! W dzisiejszych czasach kobiety są niezależne. Pracują zawodowo, robią kariery i same troszczą się o swoje utrzymanie. Już nie muszą z tego powodu wychodzić za mąż! - odpowiedziała mu ze śmiechem.

- Ale przecież wciąż potrzebują miłości - stwierdził z westchnieniem Harry Gilbey.

Luisa była pewna, że mówiąc to ojciec myśli o Noelle. Patrzyła na niego pełna zrozumienia.

- Jaki prezent chciałabyś dostać na gwiazdkę? - spytał ją, nagle zmieniając temat.

Przez chwilę była pewna, że już do końca kolacji zapomną o kłopotach, czerpiąc radość z samego spotkania. Jednak w końcu, już po wyjściu z „Czereśniowego sadu”, ojciec wyjawiał jej to, co przez cały czas leżało mu na sercu.

- Znam już termin rozprawy sądowej - wydusił z siebie.

- Kiedy to będzie? - spytała niecierpliwie.

- Pod koniec stycznia.

- To nie do wiary, że trzeba tak długo czekać na rozprawę!

- Straszne, prawda?

- Okrutne. Jak można na to pozwolić, by ludzie tak długo żyli w strachu przed nie znanym im wyrokiem.

- Tak. Wypadek zdarzył się przecież na wiosnę. Bogu dzięki, że przynajmniej test trzeźwości wypadł pomyślnie. Gdybym był pijany, sprawa przedstawiałaby się jeszcze gorzej.

- A co mówi adwokat? Czym się to może dla ciebie skończyć? - spytała z niepokojem.

- Mogę stracić prawo jazdy na zawsze albo na dwa, trzy lata. Mogę zapłacić wysoką grzywnę - odpowiedział, wzruszając ramionami. - Adwokat mówi, że trudno to przewidzieć, bo wszystko zależy od tego, na ile sąd obarczy mnie winą za spowodowanie wypadku.

Spojrzał na zegarek i zaproponował, że z jej mieszkania zadzwoni po taksówkę.

- Jeździsz teraz wszędzie taksówkami?

- Tak. Oczywiście nie prowadzę od czasu wypadku i nie sądzę, bym kiedykolwiek był do tego zdolny. Wciąż myślę o tym straszliwie okaleczonym człowieku. Zrujnowałem mu przecież życie.

- Ależ tato! On najprawdopodobniej poddał się operacji plastycznej i jest na najlepszej drodze do odzyskania normalnego wyglądu. W swojej praktyce pielęgniarstwie miałam do czynienia ze znacznie poważniejszymi oparzeniami. Jego skóra była, na szczęście, uszkodzona tylko w dwudziestu procentach...

- Na litość boską, Luiso, czy to nie dość?

- Z całą pewnością, ale nie zrobiłeś tego umyślnie. To był wypadek!

- Przeze mnie spaliły się wszystkie obrazy, które wiozł na wystawę, a to wielki artysta i miał w furgonetce akurat swoje najlepsze prace. Malował je przez kilka lat... Wszystkie poszły z dymem. Jak on mnie musi nienawidzić!

- Jestem przekonana, że tak nie jest. Na pewno bierze pod uwagę, że to był wypadek! Przestań się zadreczać!

-Ty nie rozumiesz... Ty nie wiesz... Luiso, muszę ci to powiedzieć... Muszę to komuś powiedzieć... Nie odważyłem się powiedzieć Noelle, bo

dostałaby chyba szału. Drzę na samą myśl o tym, co ona zrobi, gdy się dowie, a dowie się podczas rozprawy...

Wyglądał teraz bardzo źle. Luisa wzięła go pod ramię i tak doszli do jej mieszkania.

- Cokolwiek to jest, z pewnością nie będzie tak źle, jak myślisz.

Proszę, wejdz. Napijemy się kawy i porozmawiamy o tym u mnie.

Skinął potakująco głową, a z wyrazu jego twarzy wywnioskowała, że tego właśnie potrzebował - zwierzyć się komuś, kto będzie starał się go zrozumieć.

Zrobiła kawę i podała ją na stoliku obok elektrycznego kominka.

- Usiądź, tato - powiedziała, bo wciąż stał, patrząc posepnie w rozżarzone pręty.

Posłuszny niczym dziecko opadł na fotel i oburącz przytrzymał filiżankę, jakby miał zziębnięte dłonie.

- A teraz powiedz, o co chodzi - zachęcała go z ciepłym uśmiechem, choć była przekonana, że jeszcze raz zwierzy się jej z dręczących go wyrzutów sumienia.

- Zapomniałem zapłacić ubezpieczenia.

- Co? - zapytała w osłupieniu.

- Tuż przed wypadkiem minął termin ważności mojego ubezpieczenia i powinienem był bezzwłocznie wysłać czek, ale na śmierć zapomniałem.

- Boże drogi - powiedziała Luisa blednąc. Doskonale wiedziała, czym to się może dla niego skończyć.

- A co za tym idzie, jeśli sąd orzeknie moją winę, to nie firma ubezpieczeniowa, lecz ja zapłacę wszystkie wynikające stąd koszty - ciągnął drżącym głosem.

- Zachary West zedrze ze mnie wszystko, a Noelle mnie porzuci.

- Z pewnością nie porzuci! - zaprotestowała Luisa, choć w głębi duszy podzielała jego obawy. Zawsze uważała, że Noelle poślubiła jej ojca dla pieniędzy.

- A sąd nie każe ci od razu zapłacić całej sumy!

-Prawdopodobnie nie... Ale... widzisz...musiałem zastawić dom.

Ciąży teraz na nim dług hipoteczny... Po prostu potrzebowałem gwałtownie pieniędzy, by zapłacić za miodowy miesiąc... Noelle życzyła sobie podróży dookoła świata. To była cudowna podróż, lecz kosztowała krocie. A potem zapragnęła mieć własny samochód...

- Porsche - stwierdziła sucho Luisa, myśląc jak kosztowny jest to samochód i jak kosztownie ubiera się jej macocha.

Ojciec spostrzegł jej pełne wyrzutów spojrzenie i pociemniała mu twarz.

- Widzisz, Luiso, ona jest bardzo czuła na to, że zanim się pobraliśmy, była tylko moją sekretarką. Uważała, że ludzie powinni zauważyć, że jej pozycja się zmieniła. Musiała kupić sobie nowe stroje i nowy samochód. Miałem też wydatki związane z firmą. Po podpisaniu tego kontraktu z Hiszpanami zbudowaliśmy nowy pawilon. Musieliśmy, córeczko! Noelle ma rację mówiąc, że albo ktoś rozwija skrzydła, albo jest martwy. Toteż pożyczyłem pieniądze także pod zastaw fabryki.

- Ile? - spytała przerażona.

- Ćwierć miliona funtów - wyjął po chwili milczenia.

- Tato - szepnęła, przymykając oczy.

- Wiem. Jestem szalony.

- Nie. Jesteś zakochany, a Noelle jest piękna - zaprotestowała, siląc się na uśmiech.

- O tak - powiedział i popatrzył na córkę z wdzięcznością. -I zna się na interesach. Uznała, że musimy unowocześnić firmę, bo inaczej zbankrutujemy. Uważam, że ma rację. Po śmierci twojej matki nie poświęcałem interesom dostatecznej uwagi, więc przez wiele lat fabryka była zaniedbana. Nie mieliśmy nowoczesnego pawilonu handlowego. Ale od kiedy Noelle wszystkim się zajęła, nastąpiły zmiany na lepsze.

- Jeśli jednak będziesz musiał zapłacić Zacharemu Westowi wysokie odszkodowanie, utoniesz w straszliwych długach! - wykrzyknęła Luisa, mimowolnie zdradzając, co o tym myśli.

- Po prostu nie jestem w stanie zapłacić takiego odszkodowania - powiedział bezbarwnym głosem. - Gdy zastawiłem dom, nie było jeszcze tak źle, ale gdy przyszła kolej na firmę... Z trudem spłacam teraz zaciągnięte długi. A w moim wieku można liczyć tylko na krótkoterminowe kredyty, w najlepszym wypadku spłacane w ciągu dziesięciu lat, co znaczy, że raty są bardzo wysokie.

- Ile zostało ci do oddania?

- Większa część całej sumy. A jeśli będę musiał zapłacić Zacharemu Westowi wysokie odszkodowanie, stracę dom, a może i fabrykę. Wszystko zależy od tego, jaką kwotę ustali sąd i w jakim terminie każe ją zapłacić.

- To jest właśnie ta zła wiadomość? Ale przecież nasza fabryka ma doskonałą renomę. Bank z pewnością da ci pożyczkę i wybrniesz z kłopotów! - pocieszała ojca Luisa, choć była przerażona jego sytuacją.

- Nie w momencie, gdy spłacam kredyt pod zastaw dwu nieruchomości. Och! Gdybym nie miał tego wypadku! Spłaciłbym przecież cały mój dług z zysków. Zawieramy teraz o wiele więcej kontraktów handlowych niż kiedyś. Noelle całkowicie odmieniła firmę, co naprawdę zwiększyło nasze dochody. Musisz więc przyznać, że miała rację! - argumentował, broniąc wciąż swojej żony. - Gdyby tylko szczęście nam dopisało, lecz, niestety, ten wypadek wszystko zniweczył.

Po wyjściu ojca Luisa siedziała jeszcze przez jakiś czas przy kominku, pogrążona w myślach. Nie miała wątpliwości, że wypadek wyrządził niepowetowane straty całej ich trójce i że stało się tak z jej winy. Gdyby tylko mogła zrobić coś dla ojca w tej sprawie, by jakoś wynagrodzić mu swoje kaprysy, które doprowadziły do wypadku. Ale nie miała pieniędzy.

Sytuacja była tym gorsza, że, jak sądziła, Zachary West nie należał do ludzi wspaniałomyślnych, którzy łatwo wybaczą. Zadrzała, przypominając sobie jego pełne nienawiści spojrzenie. To musiał być twardy człowiek.

Rano zaczęła szukać w książce telefonicznej jego adresu. Po odnalezieniu nadmorskiej osady, w której mieszkał, przypomniała sobie, że ją zna i że Tareton leży blisko Whinbury. Natychmiast zaczęła wykręcać jego numer, czując, że jeśli od razu tego nie zrobi, nie starczy jej później odwagi. Gdy jednak usłyszała opryskliwy głos Zacharego Westa, nie wytrzymała nerwowo i bez słowa odłożyła słuchawkę. Ale dowiedziała się, że jest w domu. Postanowiła do niego pojechać. Wsiadła do swojego dwuletniego czerwonego minimorrisa i po upływie pół godziny była już przed kapitańskim domkiem. Oddalony o milę od Tareton, stał samotnie

na skalnym urwisku, o które bezustannie uderzały morskie fale. Zbudowany był z czerwonej cegły i otoczony ogrodem. Luisa pomyślała, że w czasie sztormowej pogody musi tu strasznie wiać. Gdy wysiadła z samochodu, z drzewa obok domu poderwało się stado wron, a wkrótce w drzwiach pojawił się sam Zachary West. Miała już otworzyć furtkę, lecz znieruchomiała na jego widok.

- Kim pani jest? - zawołał od progu. - Po co pani tu przyszła?

Miał teraz o wiele dłuższe włosy, które, rozwiane przez wiatr, nadawały mu trochę dziki wygląd. Zwróciło też jej uwagę, że poddał się operacji plastycznej, choć na jego twarzy wciąż były widoczne ślady po wypadku - sinawe blizny i białe centki martwej skóry, a także liczne przebarwienia. Czekala go z pewnością kolejna operacja. Zresztą, wiedziała o tym dobrze, chirurdzy zazwyczaj rozkładali operacje plastyczne na kilka etapów, by dać skórze czas na przyjęcie przeszczepów. Takie twarze widywała nieraz, lecz zdawała sobie sprawę, że ktoś, kto zetknął się z takim widokiem po raz pierwszy, naprawdę mógł się przestraszyć. Zachary West prawdopodobnie uznał jej milczenie właśnie za skutek przerażenia jego wyglądem, bo popatrzył na nią jeszcze bardziej nienawistnie niż przed chwilą.

- Proszę stąd odejść! - warknął niczym szczerzący kły wilk i odwrócił się do niej plecami.

Luisa miała wrażenie, jakby powtórzyła się teraz sytuacja ze szpitala, kiedy czekając na Davida podeszła do łóżka Westa, a on brutalnie odprawił ją tymi samymi słowy. Wtedy z jakiegoś niezrozumiałego powodu łzy napłynęły jej do oczu. Teraz jednak pojmowała doskonale, że

on po prostu nie chce, by ludzie widzieli go w takim stanie. Rozumiała jego cierpienie i przepelią ją współczucie.

- Nie pamięta mnie pan, panie West? - zapytała łagodnie.

- A powinienem? - rzucił obraźliwie, odwracając się i mierząc ją bezceremonialnym spojrzeniem.

- Nazywam się Luisa Gilbey. Jestem siostrą ze szpitala w Whinbury. Opiekowałam się panem przez tydzień po wypadku - przedstawiła się spokojnie, nie reagując na jego prowokacyjne zachowanie.

Spojrzał na nią jeszcze bardziej nieprzyjaźnie i wzruszył ramionami.

- Doprawdy? Niewiele pamiętam z tamtego okresu - burknął.

- Rozumiem. Był pan wtedy bardzo chory.

- To rzeczywiście pamiętam

W jego głosie pobrzmiwała ironia. Wyraźnie drwił sobie z niej.

Westchnęła na myśl, że rozmowa z nim wcale nie będzie łatwa.

Zastanawiała się przez chwilę nad tym, co właściwie skłoniło ją, by sądzić, że zdoła przekonać tego mężczyznę do wielkoduszności wobec jej ojca.

Ale gdy w jego spojrzeniu dostrzegła zranioną dumę, odsunęła na bok swoje własne zmartwienia.

- Wygląda pan teraz o wiele lepiej - powiedziała ciepłym głosem.

Zareagował na ten komplement śmiechem, a jego szare oczy pociemniały z gniewu.

- Czyżby? - zapytał prowokacyjnie, równocześnie podchodząc do niej bardzo blisko.

Teraz dopiero uświadomiła sobie, jaki jest wysoki i jak nad nią fizycznie dominuje. Przy jego wzroście, silnej budowie ciała i barczystych

ramionach czuła się drobna i niewysoka, bo sięgała mu zaledwie do ramion. Spojrzała na niego zaskoczona i odruchowo cofnęła się o krok.

-Taaak, naprawdę wygląda pan o wiele lepiej... - wybąkała.

- I jestem zabójczo przystojny, prawda? - przerwał jej z wściekłością, choć wisielczy humor nie opuszczał go ani na chwilę. - Na sam mój widok, trudno było tego nie zauważyć, wrosły pani nogi w ziemię. Zatkąło panią z zachwytu, co?

Mocno ścisnął dłońmi jej ramiona, a ją ogarnął paniczny strach.

- Panie West, proszę...

- Po co to błaganie? Dam pani to, czego pani chce! - przerwał Luisie i przyciągnął ją do siebie bliżej.

- Nie może się pani doczekać, prawda?

Roześmiał się na widok jej przerażonych oczu, kpiąc sobie z niej bez najmniejszych skrępowań.

Nie miała pojęcia, o czym Zachary West mówi. Próbowwała wyswobodzić się z uścisku, lecz on tak gwałtownie pociągnął ją do przodu, że ich ciała się zderzyły. Luisa z trudem chwytła oddech, drżąc w jego ramionach jak liść na wietrze, gdy nagle zaczął ją bezceremonialnie całować. Patrzyła na niego w osłupieniu, ale jej ciało zareagowało na ten pocałunek z niepohamowaną namiętnością. Po raz pierwszy w życiu odczuwała tak intensywnie, że jest kobietą. Ze zdumieniem poczuła, że serce wali jej jak młotem. Z trudem oddychała, a jej ciało poruszało się w jego ramionach zgodnie z jakimś nowym, nie znanym jej dotychczas rytmem. Jej zmysły były pobudzone do ostateczności. Nie do wiary, że jeden pocałunek wystarczył, by tak desperacko pragnęła tego mężczyzny.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Tego dnia, w którym Luisa Gilbey pojawiła się niespodziewanie w kapitańskim domku, Zachary West czuł się bardzo źle. Zbudził się w środku nocy, dręczony przez senne koszmary, co od czasu wypadku zdarzało się niezwykle często. Doszło do tego, że bał się zasnąć, bo wtedy przeżywał wszystko od nowa. Dziesiątki razy śnił mu się nadjeżdżający z naprzeciwka samochód, gwałtowny zjazd z drogi jego furgonetki i buchające na twarz płomienie. By uwolnić się od tego obrazu, z rozmysłem przywoływał podczas bezsennych nocy wspomnienie dziewczyny w białej sukience, którą widział tuż przed wypadkiem, gdy biegła o zmierzchu przez ogród niczym słodkie marzenie. Pragnął ujrzeć ją znowu na jawie, jak stoi przed bramą skrywającą ogród i wielki biały dom, ale od tamtej pory bał się prowadzić samochód. Postanowił jednak, że będzie jej szukał, gdy tylko nabierze sił. Intuicja podpowiadała mu, iż pewnego dnia odnajdzie ją, i niezachwianie wierzył, że ona na niego czeka.

Tego ranka wstał przed świtem i po wypiciu kawy przez pewien czas obserwował z okna wschód słońca nad morzem. Potem poszedł do pracowni. Spojrzał na puste płótno na sztalugach. Stało tak od dnia, w którym wrócił ze szpitala. Od tego czasu nie namalował żadnego obrazu, choć codziennie wchodził do pracowni, udając przed samym sobą, że będzie malował i że wszystko wróciło do normy. Zaczął mieszać farby na palecie, z rozmysłem dobierając kolory, po czym przejrzał szkicownik. Szukał szkicu pejzażu, który chciałby przenieść na płótno, ale jak zwykle od czasu wypadku nie znalazł niczego, co by mu się podobało. Sięgnął po

pędzel i z furją zamalował płótno na czerwono. Wzdychając ciężko, otworzył okno i wciągnął do płuc zimne grudniowe powietrze. Widząc siedzącego na drzewie ptaka naszkicował go pośpiesznie i ze złością opuścił pracownię. Poszedł do kuchni, by zrobić sobie następną kawę, gdy zadzwonił telefon.

- Tak? - powiedział z niechęcią do słuchawki.

- Zachary, przyjedziesz czy nie? W przyszłym tygodniu? - usłyszał apodyktyczny głos.

Dzwoniła z Francji jego siostra Flora, która ze swym mężem, Yvesem, mieszkała w Prowansji. Zachary uważał, że musi to być człowiek o nieskończonej cierpliwości i wyjątkowym poczuciu humoru, bo w przeciwnym razie nigdy by nie wytrzymał z jego władczą siostrą przez dziesięć lat, które upłynęły od ich ślubu.

- Już ci mówiłem...

- Nie możesz spędzić świąt w pracowni! - przerwała mu bezceremonialnie, przekonana, że skoro jest od niego starsza o pięć lat, to ma prawo traktować go z góry i pouczać. - W twoim domu jest z pewnością piekielnie zimno i nie będziesz miał co jeść, bo na święta zamkną wszystkie sklepy. A poza tym w Boże Narodzenie powinieneś być z rodziną. Cóż to za święta bez dzieci?

- Spokojnie! - burknął z nieodłącznym wisielczym humorem.

- Wykupię ci bilet do Marsylii, tak że na lotnisku w Londynie tylko go odbierzesz. Najlepiej będzie, jeśli przylecisz dwudziestego trzeciego, bo z pewnością chcesz spędzić z nami Wigilię.

- Nie chcę - powiedział stanowczo. - Nie przyjadę, więc nie trać pieniędzy na bilet.

-Ale posłuchaj, Zach...

- Nie, Floro! - wykrzyknął ze złością, po czym łagodniejszym już nieco tonem zaczął jej wyjaśniać:

- Dziękuję za zaproszenie, ale nie byłbym dobrym kompanem dla was i sympatycznym wujaszkiem dla Sammi i Claude'a. Tylko zepsułbym wam święta, a wcale tego nie pragnę. Po prostu nie jestem w odpowiednim nastroju. Więc miło spędźcie czas. Oczywiście przekaz ode mnie najlepsze życzenia dla Yvesa i jego rodziny. I do zobaczenia...

- Dana przyjeżdża odwiedzić swoich rodziców - przerwała mu pośpiesznie, w obawie, że Zachary odłoży słuchawkę. - Powiedziałam jej, że u nas będziecie. Ona bardzo chce się z tobą spotkać, mimo że potraktowałaś ją tak strasznie, gdy przyszła odwiedzić cię w szpitalu. Dana ma w sobie tyle wdzięku. Mówi, że świetnie rozumie, dlaczego nie chciałaś, by cię wtedy zobaczyła. Ale pragnie, byście spróbowali jeszcze raz... Musisz przyjechać! Nie chcesz chyba, żebym się ośmieszyła w jej oczach!

- Więc mnie zwiąż i wyślij w paczce! - burknął.

- Proszę cię, Floro, nie mieszaj się do moich spraw. Po prostu zostaw mnie w spokoju.

Odłożył słuchawkę i wrócił do pracowni. Usiadł, popijając kawę, przed płótnem, które kilka minut temu zasmarował nieregularnymi plamami czerwonej farby. Doszedł do wniosku, że znakomicie wyrażają jego obecny nastrój. Zaczął rozmyślać o tym, dlaczego jego siostra usiłuje go uszczęśliwić wbrew jego woli. W końcu uznał, że ona zwyczajnie nie rozumie powodów, dla których zerwał ze swoją dotychczasową dziewczyną.

Dana była czarującą blondynką. Jako dobra piosenkarka znakomicie zarabiała, a dla Flory, która mocno stała na ziemi, bardzo się to liczyło. Lecz Zachary nie chciał nawet myślami wracać do kobiety, która go zdradziła. Ich rozstanie było nieodwołalne. Ale Flora uznała, że musi ich pogodzić. Po jego pierwszej operacji plastycznej zadzwoniła do Dany, która śpiewała w jednym z londyńskich klubów i nakłoniła ją do złożenia mu wizyty w szpitalu.

Było to jesienią. Dana weszła do pokoju, który zajmował w prywatnej klinice, i bez przerwy się uśmiechała, usiłując nie dać po sobie poznać, co czuje na widok jego twarzy. Jednak w jej spojrzeniu Zachary spostrzegł przerażenie i odrazę.

- Jak się masz, mój ty słodki biedaku? - zaszczębiotała i usiadła na jego łóżku. - Oczywiście odwiedziłabym cię znacznie wcześniej, ale Flora powiedziała mi, że nie czujesz się na tyle dobrze, by przyjmować gości. Po jej ostatnim telefonie przybiegłam do ciebie natychmiast... Przytulny masz pokoik. I wyglądasz znakomicie, naprawdę znakomicie. Kiedy stąd wyjdiesz, kochanie? - paplała bez przerwy, usiłując w ten sposób pokryć swoje zmieszanie.

- Nie wiem Dano - wymamrotał zirytowany jej nieszczerym zachowaniem. - Prawdę mówiąc, lepiej będzie, jeśli stąd pójdziesz. Flora nie powinna nakłaniać cię do tych odwiedzin. Nie życzę tu sobie żadnych gości.

- Ależ kochanie, czy mój widok nie cieszy cię ani troszeczkę? Nie dostanę nawet całusa? - zbyła jego nieuprzejmość, trzepocąc kokieteryjnie rzęsami.

Spojrzała na niego z zalotnym uśmiechem i pochyliła się do przodu, lecz nagle znieruchomiała zamykając oczy, jakby tylko w ten sposób zdolna była pokonać odrazę, jaką wzbudzała w niej pokiereszowana w wypadku twarz Zacharego.

- Nie słyszałaś, co powiedziałem? - wrzasnął, widząc to, pobladły z wściekłości Zachary. - Wynoś się stąd! Wynoś natychmiast, przekłeta!

W tym momencie do pokoju wbiegła przerażona pielęgniarka.

- Panie West! Słyszać pana w całym szpitalu! Proszę przestać krzyczeć!

- Proszę ją stąd zabrać! - warknął.

Dana podniosła się z łóżka i wybiegła z pokoju z takim wyrazem twarzy, jakby Zachary złamał jej serce. On zaś zaczął się szaleńczo śmiać. Pielęgniarka wezwała lekarza sądząc, że pacjent jest na granicy załamania nerwowego.

- Wszystko w porządku, doktorze - zapewniał go Zachary. - Po prostu miałem gościa, który nie był w stanie pocałować wstrętnej ropuchy, by na powrót zamieniła się w pięknego księcia.

Zielonooka Dana wyglądała ślicznie. Jej minispódniczka odsłaniała pięknie opalone, zgrabne nogi, prezentowała się bardzo seksownie. Ale uroda tej kobiety już go nie interesowała. Odkrył, jaka jest naprawdę. Potrafił żartować z jej zachowania, lecz reakcja Dany zapadła mu głęboko w pamięć. Uświadomiła Zacharemu, jak straszne wrażenie robi teraz jego twarz. Od czasu wypadku jedynymi kobietami, które go oglądały, były, poza Florą, pielęgniarki przyzwyczajone do nieokazywania uczuć. Właściwie dopiero po wizycie Dany pojął, że jego widok może napawać przerażeniem.

Siedząc teraz w pracowni nad pochłapanym czerwoną farbą płótnem, doszedł do wniosku, że chyba z tego powodu wciąż nie zaczął szukać dziewczyny w białej sukience. Nie mógł sobie dać rady z ponurymi myślami, które jak echo wracały do niego. Postanowił zająć się czymś, by odciążyć umysł. Uznał, że narąbie drew do kominka. Włożył kurtkę i wyszedł na dwór. Właśnie wtedy usłyszał nadjeżdżający samochód. Był zaskoczony, bo rzadko kto go odwiedzał. Z niechęcią spojrzął w kierunku bramy i zobaczył stojącą tam kobietę. W pierwszej chwili miał dziwne uczucie, że ją zna. Kiedy jednak przyjrzał się jej lepiej, doszedł do przekonania, że nie przypomina sobie, by kiedykolwiek widział tę szczupłą dziewczynę o delikatnej, jasnej cerze i ciemnych włosach upiętych w koczek. Pomyślał, że to może być dziennikarka. Nie cierpiał dziennikarzy, więc spojrzął na nią z niechęcią i opryskliwie zapytał, kim jest i czego chce.

Gdy wyjaśniła, że jest pielęgniarką ze szpitala w Whinbury, odkrył nagle, że znakomicie ją pamięta. Przypomniał sobie także, że czuł do niej antypatię podczas swojego krótkiego pobytu w tym szpitalu. Drażnił go szelest jej nieskazitelnie białego fartucha, uważał, że jest zimna i sztywna oraz że należy, jak jego siostra, do kobiet despotycznych, zawsze zajętych i świetnie zorganizowanych, a takich po prostu nie znosił. Traktowała go przecież niczym niespokojne dziecko, które trzeba ułagodzić i uciszyć, przemawiając do niego szeptem i spoglądając z troską. Zachary nienawidził ludzi, którzy okazywali mu współczucie. Dlatego z premedytacją ich obrażał. A jeśli chodzi o tę kobietę, to dla zabawy w, myślał sobie, że przyjechała go zobaczyć, ponieważ tak zachwyciła się nim w szpitalu, że nie potrafiła powstrzymać się przed przyjazdem tutaj.

Była to dla niego perwersyjna rozrywka, ponieważ z wyrazu jej twarzy wyczytał, że zachwyty jego osobą stanowi ostatnią rzecz, na jaką potrafiłaby się zdobyć. W jej oczach malowało się raczej przerażenie. Z pewnością uważała, że po kilku bardzo kosztownych operacjach jego twarz będzie wyglądała prawie normalnie. Chirurg mówił mu o tym. Ale teraz mógł budzić tylko odrazę. Więc zabawił się jej kosztem i pocałował ją tylko po to, żeby ją upokorzyć.

Gdy spostrzegł, że siostra Gilbey mdleje w jego ramionach ze strachu i obrzydzenia, podtrzymał ją, by nie upadła, i zaprowadził do domu. Szorstkim ruchem posadził ją na kanapie. Widząc, że bezwładnie opuściła głowę na kolana, wyszedł do kuchni, by przynieść jej kieliszek brandy. Po powrocie stwierdził, że siedzi już wyprostowana i że jest purpurowa z zakłopotania.

- Tak mi przykro... Wyobrażam sobie, co pan o mnie myśli... Nie wiem, co mi się stało...

- Po prostu nie powinienem pani całować - powiedział szorstko i podsunął jej kieliszek.

- Och! Nie! Dziękuję - wymawiała się, patrząc na alkohol, jakby to była trucizna.

- Proszę nie zachowywać się infantylnie i wypić. Widząc, że dziewczyna wciąż się waha, chwycił ją za przegub dłoni i zmusił, by podniosła kieliszek do ust. Gdy w końcu wypła, wzdrygając się, usiadł obok niej w fotelu.

- A zatem, z czym pani tu przyszła, siostrze... -Gilbey... Jestem... Widzi pan... Mój ojciec to Harry Gilbey - jąkała Luisa.

- Czy ja go znam? Przykro mi, ale. .

- On był w drugim samochodzie - powiedziała sucho.

- W drugim samochodzie? - spytał tak, jakby nie rozumiał. - On... To on... to on był tym kierowcą? - dopowiedział nagle zmienionym głosem i zaklął.

Luisa skinęła głową.

- Panie West, to, co się wtedy stało, jest do niego zupełnie niepodobne. Nie był pijany i wyjątkowo prowadził nieostrożnie, bo znajdował się w stanie straszliwego napięcia i... Nie próbuję go usprawiedliwić, ale...

- Jeśli naprawdę pani go nie usprawiedliwia, to jak nazwać to, co pani teraz robi?! - wykrzyknął oburzony.

Patrząc na skonsternowaną twarz Luisy, Gilbey spostrzegł nagle, że jej usta są pełne i ciepłe w wyrazie. Nie pasowały ani do jej ascetycznej fryzury, ani do sztywnych manier.

- Ja tylko chciałam panu wyjaśnić, dlaczego doszło do tego wypadku - szepnęła przestraszona.

- Jechała pani wtedy razem z nim? - spytał, groźnie ścigając brwi.

- Niestety, choć bardzo tego żałuję, bo gdyby tak było, nigdy nie doszłoby do wypadku.

- Pojawił się nagle po mojej stronie szosy. Brał zakręt z tak szaleńczą szybkością, że nie miałem najmniejszej szansy, by uskoczyć w bok i uniknąć zderzenia. Czy powiedział pani o tym?

- Oczywiście. Proszę mi wierzyć, że on obarcza winą tylko siebie i bardzo ubolewa nad tym, co się stało.

- Wspaniały człowiek - stwierdził Zachary, śmiejąc się ironicznie. - Czy został poszkodowany w wypadku?

- Trochę...

- To znaczy?

- Słuczenia i szok - odpowiedziała niemal bezgłośnie, widząc, jak West krzywi usta w kpiącym uśmiechu.

- A jak długo był w szpitalu?

- Dobę.

- A ja od tego czasu włączę się bezustannie po lekarzach.

- Wiem - odrzekła, patrząc mu w oczy z niezachwianym spokojem. - Bardzo nad tym boleję, podobnie jak mój ojciec. Proszę mi wierzyć, że to dla niego wielki naprawdę ciężar.

- Dałaby pani spokój! - wykrzyknął z oburzeniem i poderwał się z fotela. - Po co pani tu właściwie przyjechała?

Luisa również podniosła się z kanapy.

- Przyjechałam, żeby pana prosić... Wiem, że mój ojciec jest winny, i on temu nie zaprzecza... Ale proszę mi wierzyć, że po pewnym czasie będzie pan wyglądał tak samo, jak przed wypadkiem. Oczywiście nie nastąpi to szybko, ale jako doświadczona pielęgniarka, która ma do czynienia z oparzeniami, wiem, że wróci pan do normalnego wyglądu.

- Moja twarz nigdy nie powróci do stanu, który pani nazywa normalnym! - zaprzeczył z taką agresją, jakby uważał, że ona oszukuje go bez skrpułów.

- Nie ma pan racji, panie West - odrzekła spokojnie i stanowczo. - Ale oczywiście rozumiem, dlaczego pan tak myśli. Potrwa to pewnie jeszcze około roku, lecz chirurgia plastyczna czyni cuda, zwłaszcza że jest pan, o ile wiem, pod opieką najlepszego specjalisty.

-Jednak nawet on nie daje gwarancji, że moja twarz będzie wyglądała tak jak przedtem! - zaprotestował ponownie i roześmiał się, bo przypominał sobie wizytę Dany w szpitalu. - Szkoda, że pani nie widziała, z jaką odrazą patrzyła na mnie moja ostatnia dziewczyna, gdy zobaczyła mnie po operacji! Myślałem, że zemdleje.

-A ja jestem pewna, że po prostu bardzo się o pana martwiła i była wytrącona z równowagi - odrzekła na to z niezmaconym spokojem siostra Gilbey. - Już mówiłam, że to powolny proces, ale wiem, że odzyska pan swój dawny wygląd.

- Proszę mnie nie okłamywać! - warknął. - Widzę przecież codziennie swoją twarz w lustrze. Wyglądam tak odrażająco, że trudno to opisać, a co więcej, jest prawdopodobne, że będzie tak do końca moich dni. Kobiety mdleją na mój widok, lecz oczywiście ze wstrętu. Przydarzyło się to przecież także pani - argumentował z wisielczym humorem.

- Ja nie...

- Ależ tak. Słaniała się pani na nogach. Taki był skutek pocałunku.

-Ja nie dlatego... - zaczęła wyjaśniać pąsowa z zakłopotania.

Przerwał jej pełen złości śmiech.

- Proszę sobie darować to udawanie. Wiem, dlaczego pani zasłabła. Oczywiście nie mogę mieć o to do pani pretensji. W końcu mam lustro, więc wszystko doskonale rozumiem.

- Nie! - wykrzyknęła, patrząc mu prosto w oczy. - Niczego pan nie rozumie!

Z jej spojrzenia wyczytał, że jest szczerze zmartwiona jego podejrzeniami, ale miał już dość tego tematu. Starał się nie myśleć o wypadku, rozpaczliwie usiłując powrócić do normalnego życia.

- W porządku. Nie mówmy już o tym - uciał zniecierpliwiony. - Wróćmy do przyczyny pani przyjazdu tutaj. Więc czego pani ode mnie oczekuje?

- Nie jestem pewna, czy... Czy pańscy adwokaci powiedzieli panu... Czy pan wie...

- Na litość boską, siostró Gilbey! Niechże siostra to z siebie wydusi! - ponaglił ją z irytacją.

- Mój ojciec zapomniał zapłacić składkę ubezpieczeniową - wykrztusiła.

- Nabiera mnie pani! - wykrzyknął z niedowierzaniem.

Zaprzeczyła ruchem głowy, ale nie powiedziała nic.

Popatrzył jej w oczy i nagle olśnił go ich niezwykle, ciemnoniebieski kolor. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek widział już takie oczy. Bładość jej twarzy sprawiła, że skojarzyły mu się z wiosennymi krokusami na ośnieżonych jeszcze stokach Alp. Szafir na bieli... Uwielbiał kontrastowe zestawienia barw. Zdumiało go jednak również coś zupełnie innego, a mianowicie, że jej ojciec przysłał ją tu, żeby się za nim wstawiła. Zastanawiał się, co to za człowiek, że nie przyszedł sam lub nie zlecił sprawy adwokatowi.

-Jak mógł być tak nierozważny? - powiedział Zachary po chwili milczenia raczej do siebie niż do niej.

-To z powodu straszliwego napięcia... Ma kłopoty... finansowe... i nie widzi sposobu, by z nich wybrnąć. To dlatego zapomniał o

ubezpieczeniu... Oczywiście zamierzał zapłacić, ale... Wiem, że to było niemądre, jednak... - wyjaśniła pośpiesznie, przetykając z trudem ślinę.

- Tego nawet nie można nazwać głupotą!

- Nie proszę pana o darowanie mojemu ojcu odszkodowania...

- To dobrze, ponieważ nie zamierzam tego zrobić. I dlaczego, u licha, miałbym to zrobić?

- Jeśli będzie musiał zapłacić od razu całą sumę, zostanie zrujnowany... Cięży na nim spłata kredytu, który wziął pod zastaw domu i firmy. Nie ma gotówki w banku. Jeśli sąd przyzna panu bardzo wysokie odszkodowanie, mój ojciec będzie musiał sprzedać dom, a może i firmę - powiedziała ze łzami w oczach.

Zachary patrzył na nią zdumiony.

- To nie mój problem! Skoro z jego winy doszło do wypadku, będzie musiał ponieść konsekwencje. Trzeba być bardzo naiwnym, żeby sądzić, że zrezygnuję z odszkodowania tylko dlatego, że opowie mi pani łzawą historyjkę.

- Miałam nadzieję, że...

- Obchodzi mnie wyłącznie moje własne życie, a pani ojciec zrujnował je wiosną tego roku - przerwał jej szorstko.

- Wiem, został pan straszliwie poparzony, ale przecież za parę miesięcy wróci pan do zdrowia! - wykrzyknęła z desperacją.

- Z powodu tego wypadku straciłem kilka lat z mojego życia!

Splonęły obrazy, nad którymi pracowałem przez długi czas. Ten koszmar nie ma końca i nie jestem w stanie malować. Rozpaczliwie staram się do tego wrócić, ale najwyraźniej coś się porobiło z moją głową. Za każdym razem, kiedy biorę pędzel do ręki, czuję się tak, jakby mój mózg przestał

nią kierować... A bez malowania jestem jak sparaliżowany. Równie dobrze mógłbym być martwy! Niech pani mnie nie prosi, żebym ubolewał z powodu kłopotów jej ojca! - ciągnął wzburzony. - Nie jestem święty i wcale nie chcę nim być. To sąd rozstrzygnie wysokość odszkodowania na podstawie dowodów winy. Pani ojciec musi dostosować się do tej decyzji.

- Ale gdyby tylko zechciał pan...

- Czy pani naprawdę potraktowała swoją misję poważnie i rzeczywiście uwierzyła, że dzięki tej wizycie zmienię decyzję w sprawie odszkodowania? - przerwał jej z kpina. - A może przyszła tu pani, by ofiarować mi coś ekstra w zamian za ustępstwo?

Spojrzała na niego tak, jakby nie rozumiała, o co mu chodzi. Roześmiał się cynicznie, najwyraźniej tym rozbawiony, i zaczął prowokacyjnie taksować ją wzrokiem. Z rozmysłem przesuwał spojrzenie z jej dziewczęcych piersi, których kształt uwydatniał biały, obcisły sweter, na zgrabne biodra i długie nogi, znakomicie wyeksponowane w czarnych, wąskich spodniach. Widząc to Luisa zrozumiała w końcu, co miał na myśli i stanęła w pąsach.

- Przykro mi, lecz nie jest pani w moim typie - wycedził z bezczelnym uśmiechem. - Lubię dobrze zbudowane blondynki. Pani jest dla mnie o wiele za szczupła. Poza tym podejrzewam, że nie grzeszy pani zbyt wielkim doświadczeniem i inwencją w łóżku.

Patrzyła na niego tak, jakby chciała zabić go wzrokiem. Sprawilo mu to złośliwą satysfakcję, ale nagle stracił chęć obrażania jej, bo znowu opanowała go myśl, że ta dziewczyna nie jest przecież winna jego nieszczęściom. Skrzywił się z niesmakiem, wyrzucając sobie, że mści się na niej za to, co zrobił jej ojciec. Uświadomił sobie również, że ta

dziewczyna go pociąga. I musiał uczciwie przyznać przed samym sobą, że kłamał mówiąc jej, że nie jest w jego typie. Prawdę powiedziawszy, nie miał swojego typu. Lubił kobiety i tyle, więc równie dobrze mogła go zainteresować siostra Gilbey. Ale ona wyzionęłaby raczej ducha niż została jego przyjaciółką, pomyślał z goryczą. Zemdląła przecież, gdy ją pocałował. Gdyby odkryła, że mu się podoba, z pewnością natychmiast by stąd uciekła.

Nagle jej kategoryczny głos wdarł się w jego myśli.

- Proszę sobie niczego nie wyobrażać!

- Nie? - spytał głupio.

-Ja tylko chciałam prosić... o ugodę...

- Pomiedzy mną a panią? - wycedził, przerywając jej

bezceremonialnie. - Czy zdradzi mi pani, o jaki rodzaj ugody chodzi, czy też muszę się sam domyślić?

Znowu zaczął taksować ją wzrokiem. Gdy spostrzegł, że w reakcji na to jej fiołkowe oczy ciskają w jego stronę gromy, pomyślał, że ma do czynienia z damulką, która nigdy nie odstąpi od sztywnej etykiety i nie pozwoli sobie na flirt. Doszedł do przekonania, że pewnie dlatego została pielęgniarzką i że jej służbowy uniform, przypominający zakonny habit, pasuje do jej osobowości.

- Chodzi o ugodę pomiędzy panem a moim ojcem. Gdyby zgodził się pan na spłatę odszkodowania w ciągu kilku lat, nie musiałby sprzedawać domu, a może i firmy - wyjaśniła spokojnie, lecz jej twarz płonęła.

- Proszę się tym nie martwić. Jestem przekonany, że sąd uwzględni wszystkie okoliczności - odpowiedział nadspodziewanie spokojnie,

widząc, jak siostra Gilbey przeżywa kłopoty swojego ojca i jak o niego walczy.

- Naprawdę? - spytała z powątpiewaniem.

- Zawsze przecież sąd bierze pod uwagę materialną sytuację osoby, którą obciąża odszkodowaniem. Z pewnością nie będzie wymuszał na pani ojcu sprzedaży domu - odpowiedział jeszcze łagodniej.

- Może rzeczywiście tak się stanie, ale... on już ma olbrzymie długi... Będzie mu bardzo trudno zapłacić panu dużą sumę... A jeśli jego żona dowie się, że on jest bez pieniędzy, prawdopodobnie odejdzie od niego... - wyjąkała w końcu to, co najbardziej leżało jej na sercu.

- Czy to moja wina, że on ma długi! - wykrzyknął znowu poirytowany Zachary.

- Ja tylko proszę, by zechciał pan poczekać około roku na spłatę odszkodowania. Może wtedy ona się o niczym nie dowie. Jest pewne, że zyski, jakie przynosi firma, bardzo wzrosną w ciągu dwóch lat i ojciec będzie mógł stopniowo spłacić to odszkodowanie.

- Czyli zakłada pani, że mogę czekać?

- Czyżby było to dla pana bardzo trudne? Czyżby i pan był w kłopotach finansowych? - spytała zrozpaczona.

- Nie zebrzę na ulicy - rzucił szorstko. - Proszę mi powiedzieć, siostró Gilbey, czy mam rację przypuszczając, że żona pańskiego ojca nie jest pani matką?

- Moja matka zmarła dawno temu.

- A kiedy pani ojciec ożenił się ponownie?

- W kilka lat po jej śmierci.

- Nie przepada pani za swoją macochą?

- Nie żyjemy ze sobą dobrze - odpowiedziała sztywno, zaskoczona jego obcesowością.

Wzbudzała w nim zaciekawienie, a zarazem niechęć. Pamiętał jej twarz pochylającą się nad nim, gdy budził się w nocy w szpitalu. Wydawała mu się wtedy zimna i nieodparcie kojarzyła z surową zakonnica. Ale teraz, w czerwonej kurtce i białym swetrze, wyglądała zaskakująco kobieco i naprawdę była pociągająca. Jednak stała przed nim zamknięta i lodowata, co budziło w nim chęć dokuczania jej.

- Dlaczego jej pani nie lubi? - spytał bezceremonialnie.

- To ona mnie nie lubi! - wykrzyknęła, broniąc się rozpaczliwie przed jego insynuacjami.

- Ale która z was pierwsza okazała drugiej antypatię? - drażył z dociekliwością bezczelnego detektywa.

Zachary West był przekonany, że siostra Gilbey potraktowała swoją macochę jak intruza. Z pewnością po śmierci matki rozpacz po jej stracie jeszcze bardziej związała córkę z ojcem. I musiało być dla niej szokiem, że ojciec pogodził się z tą stratą, żeniąc się ponownie.

- Naprawdę starałam się ją polubić, ale ona już na początku dała jasno do zrozumienia, że w ogóle nie życzy sobie mojego towarzystwa! - odparła poirytowana. Ona nie chce, żeby ludzie widywali nas razem; chyba się boi, że wezmą nas za siostry. Jest ode mnie niewiele starsza.

- Nie do wiary... W jakim zatem wieku jest pani ojciec?

- Ma pięćdziesiąt lat. Pobrali się z moją matką, gdy byli bardzo młodzi.

- A ile lat ma pani macocha?

- Dobiega trzydziestki.

- Czyli pani musi mieć... dwadzieścia... osiem?

- Dwadzieścia siedem.

- Wygląda pani na dwudziestolatkę - stwierdził sucho. - Może z powodu tego dziewiczego spojrzenia. „Dziewiczego”, nie w wulgarnym znaczeniu, rzecz jasna - dopowiedział z kpiącym uśmiechem, widząc, jak siostra Gilbey oblewa się rumieńcem.

- Ale w pana ustach to określenie brzmi wulgarnie.

Znowu zaczął się śmiać.

- To raczej pani jest przewrażliwiona na tym punkcie - wycodził i raptem zapytał: - Czyżby rzeczywiście nigdy nie miała pani nikogo?

- Co? wyduśla z siebie oniemiała ze zdumienia.

- Czy pani jest dziewicą? - zapytał teraz wprost, ze śmiertelną powagą, choć jej pąsowa twarz mówiła mu, że doskonale zrozumiała grubiańskie pytanie.

- Ja... Ja... Ja... nie odpowiadam na takie pytania! - wykrzyknęła z najwyższym oburzeniem.

- Czuję, że to prawda, choć w pani wieku wydać się to może niepodobieństwem - powiedział, jakby czerpał z jej udręki sadystyczną przyjemność. - Wśród dojrzałych kobiet od lat nie spotkałem żadnej dziewicy. Moda na dziewictwo skończyła się w latach sześćdziesiątych, ale może znowu powraca? Czy pani cnotliwość jest oznaką tego nowego trendu? A może po prostu stanowi pani jakiś nadzwyczajny wyjątek?

- Jeśli zamierza pan dalej żartować w taki sposób, wyjdę stąd.

- A może to efekt epidemii AIDS? - powiedział jakby do siebie. - Chciałbym dowiedzieć się więcej na temat pani macochy.

Luisa podeszła gwałtownie do drzwi.

- Nie otrzymała pani odpowiedzi w sprawie odroczenia spłaty odszkodowania! - zawołał za nią.

- Za to panu zafundowałam porcję wyśmienitej rozrywki. Żegnam, bo nie zamierzam spędzić tu ani chwili dłużej jako ofiara pańskiego poczucia humoru - rzuciła lodowato.

- Wypadek z pewnością trochę je wypaczył - powiedział West wzruszając ramionami, jakby uważał, że to wystarczy za przeprosiny.

- Zauważyłam to.

-Ale ja jestem skłonny zawrzeć z pani ojcem ugode, dzięki której nie utraci domu, firmy i żony.

Patrzył na Luisę tak, jakby rzeczywiście zamierzał spotkać się z Harrym Gilbeyem, więc zrobiła krok do przodu.

- Naprawdę? Nie żartuje sobie pan znowu ze mnie? - spytała z nadzieją.

- Mówię poważnie, ale stawiam jeden warunek.

- Jaki warunek?

- Zamieszka pani tu ze mną tak długo, jak długo będę sobie życzył.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Luisa poczuła się tak, jakby Zachary West wymierzył jej policzek. Z bezsilnej złości poczerwieniała, a następnie zrobiła się biała jak papier.

- Panie West, czy rzeczywiście ta arogancja wobec mnie poprawia pańskie samopoczucie? Współczuję panu i muszę wyznać, że ani przez chwilę nie chciałabym być w pańskiej skórze. Oczywiście nie z powodu pana cierpień, ale dlatego, że najwyraźniej zabiły pańską wrażliwość. To mnie przeraża - rzuciła od drzwi, nie czekając na odpowiedź.

Gdy wsiadała do samochodu, Zachary West patrzył na nią, stojąc w drzwiach domu.

- Moja propozycja jest poważna. I musi pani podjąć decyzję przed procesem, bo potem będzie za późno - zawołał na pożegnanie.

Nie powiedziała nic, lecz czym prędzej odjechała. Była jednak tak wytrącona z równowagi, że prowadziła nieostrożnie. Mało brakowało, a na skrzyżowaniu tuż za Tareton doprowadziłaby do kraksy. Zjechała na pobocze i zatrzymała się na chwilę, by dojść do siebie. Mimowolnie zaczęła rozmyślać o tym, co powiedział na jej temat Zachary West i co tak boleśnie ją zraniło. Naigrawał się z jej dziewictwa, a przecież najgorsze było to, że ona naprawdę wciąż była dziewicą. Jakim cudem to odkrył? Zastanawiała się, czy jest to wypisane na jej twarzy i czy doświadczenie seksualne pozostawia widoczne gołym okiem ślady.

Owszem, spotykała się kiedyś z mężczyzną, z którym chciała się kochać. Nic z tego jednak nie wyszło, bo było to w czasie stażu po ukończeniu szkoły pielęgnarskiej, kiedy mieszkała w domu dla pielęgniarek. W tych warunkach było raczej trudno kochać się z kimś, kto

nie miał własnego locum, a ona spotykała się wtedy głównie z młodymi lekarzami, którzy też mieszkali wspólnie w służbowych mieszkaniach. Oczywiście wiele osób kochało się w samochodach lub w cudzych domach, ale Luisa czuła się w takich sytuacjach zbyt skrepowana. Wszystko to było ukradkowe i odbywało się pośpiesznie, a ona chciała, by pierwszy intymny kontakt z mężczyzną był w jej życiu pięknym, romantycznym wydarzeniem.

Po stażu zamieszkała z powrotem w domu rodzinnym i to stanowiło innego rodzaju przeszkodę. Nie potrafiła kochać się z kimś pod nieobecność ojca, w obawie, że może zjawić się niespodziewanie.

Wspominając teraz to wszystko, musiała jednak w końcu przyznać przed samą sobą, że się oszukuje, wynajdując rozmaite powody, dla których w wieku dwudziestu siedmiu lat wciąż była dziewicą. Prawda była taka, że żaden mężczyzna nie pociągał jej tak silnie, by chciała się z nim kochać, aż do chwili, w której pocałował ją Zachary West. Dopiero w tym momencie zaczęła spalać ją taka namiętność, o jakiej dotąd nie miała pojęcia.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia. Luisa, tak jak przypuszczała, spędziła je w szpitalu. Nie było jej jednak przykro, bo atmosfera, jaka tu zawsze panowała w czasie świąt, była cudowna. Oczywiście niektórzy chorzy utyskiwali, że nie są w domu, lecz widok małych pacjentów wprost chwycił za serce. Dzieci naprawdę potrafiły się cieszyć gwiazdkowymi prezentami, którymi tak hojnie obdarowywała je w wigilię rodzina i personel szpitala. Na oddziale Luisy byli, jak zwykle, również tacy pacjenci, którzy leżeli nieprzytomni. Jednak i ona zadbała o

bożonarodzeniowe dekoracje, a także o choinkę, która została pięknie przystrojona srebrnymi dzwoneczkami i czerwonymi kokardkami.

W drugi dzień świąt Luisa dobrowolnie pomagała na Izbie Przyjęć. Mieli tam zbyt mały personel jak na liczbę wypadków, które zdarzyły się w czasie Bożego Narodzenia.

- Dziękujemy za pomoc - zwróciła się do niej młoda lekarka, gdy usiadły, by wypić kawę, korzystając z chwili spokoju.

- Nie ma za co. Miło jest świętować w domu, ale tutaj jesteśmy przecież nie mniej potrzebne.

- Wolałabym świętować! - odparła lekarka z niezadowoloną miną.

- Między nami mówiąc, ja też! Ale akurat moja rodzina wyjechała na święta do Szwajcarii.

Roześmiały się, lecz twarz lekarki, która była Hinduską, nagle posmutniała.

- Moja również, choć nie obchodzimy świąt Bożego Narodzenia - zwierzyła się z westchnieniem doktor Indira Kumar.

- Do Szwajcarii?

- Nie, do Delhi!

Zaczęły chichotać, gdy raptem drzwi się otworzyły i do Izby Przyjęć wszedł nowy pacjent.

Luisa wolno podniosła się z krzesła i patrzyła na niego z niedowierzaniem, a na jej twarzy natychmiast pojawiły się wypieki. Bo co, u licha, robił tu Zachary West?

- Co pan tu robi? - spytała, rzucając mu nienawistne spojrzenie.

- Z pewnością nie szukam pani! Proszę zatem nie przeżywać takiego wstrząsu! - powiedział dobitnie i wyciągnął rękę.

Dopiero teraz spostrzegła na jego dłoni ranę tuż poniżej kciuka. Rana już nie krwawiła, ale wyglądała na bolesną.

- Jak to się stało? - spytała, biorąc go za rękę i oglądając ranę dokładnie. Była głęboka i miała gładkie brzegi. Wyglądała na zadana nożem.

- Rąbałem drzewo i wyśliznęła mi się siekiera.

- Musi pan bardziej uważać - upomniała go.

- Tak, proszę niani.

- Skaleczenie to naprawdę ostatnia rzecz, jaka powinna się panu przydarzyć. Może spowodować groźne komplikacje. Kiedy ostatnio robiono panu zastrzyk przeciwężcowy? - spytała z powagą, ignorując jego kpiącą minę.

- Nie mam pojęcia.

- Zaprowadzę pana teraz do doktor Kumar, a potem zrobię zastrzyk przeciwężcowy i odkażę ranę przed założeniem szwów.

- Tak, proszę niani - powtórzył z drwiną, ale nie dała się sprowokować.

Tak jak się spodziewała, Indira poleciła jej zrobić Zacharemu zastrzyk przeciwężcowy i odkazić ranę przed założeniem szwów. Jeśli na Izbie Przyjęć był duży ruch, Luisa sama zakładała szwy, ale teraz panował tu chwilowy spokój, więc lekarka mogła zrobić to sama.

- Nienawidzę zastrzyków - oznajmił Zachary, krzywiąc się na widok strzykawki.

Zniósł jednak dzielnie nie jeden, lecz dwa zastrzyki, przeciwężcowy i znieczulający, a ona odczuła nagle żarliwe pragnienie, by dodać mu otuchy w walce, jaką toczył po wypadku o powrót do normalnego życia.

Chciała pogłodzić go po włosach i otoczyć ramieniem jak dziecko. Oczywiście za nic nie odważyłaby się tego zrobić.

- Kiedy przeniosła się pani na Izbę Przyjęć? - zapytał tym razem poważnie.

- Nie przeniosłam się. Jestem tu tylko dzisiaj. Święta zwykle burzą normalny porządek dyżurów. Siostra oddziałowa ma małe dzieci i zawsze stara się spędzić z nimi Boże Narodzenie. A ponieważ tu, jak w całym szpitalu, brakuje personelu, chciałam jej pomóc i zgodziłam się ją zastąpić.

- A pierwszy dzień świąt miała pani wolny?

Potrząsnęła przecząco głową, ale zmieniła temat.

- Powinniśmy wrócić teraz do doktor Kumar, by założyła panu szwy.

- Pracowała pani wczoraj i zgodziła się pracować dzisiaj? A co z pani rodziną? Co oni na to? - nie ustępował.

- Ojciec z macochą są w Szwajcarii na nartach.

- Czyli po prostu nie miała pani z kim spędzić świąt?

- To prawda - odpowiedziała, siląc się na spokój i starając się nie zaczerwienić.

Był opanowany, gdy Indira zakładała mu szwy.

- Jestem pewien, że wspaniale pani haftuje - powiedział z podziwem, widząc, jak zręcznie porusza palcami.

- Matka zaczęła uczyć mnie szyć, kiedy tylko potrafiłam utrzymać w palcach igłę. Chciała, żebym została krawcową.

- Co powiedziała, gdy okazało się, że chce pani być lekarzem?

- Matka ma staroświeckie poglądy i uważa, że kobietom nie jest potrzebne wykształcenie.

- Chciała, by wyszła pani za mąż?

-Tak. Oddałaby własną duszę, by zapewnić synom lepszą przyszłość, ale wydawanie pieniędzy na kształcenie córek uważa za marnotrawstwo. A poza tym obawiała się, że studiując wyemancypuję się zupełnie i poślubię mężczyznę, którego moja rodzina nie będzie w stanie zaakceptować.

- A więc w jaki sposób została pani w końcu lekarzem?

- Na szczęście mój ojciec ma inne poglądy. Sam marzył kiedyś o wykonywaniu tego zawodu. Jemu się nie powiodło, ale mnie nakłaniał do nauki i ukończyłam medycynę.

- I matka to zaakceptowała?

- Moja matka akceptuje wszystko, co postanowi ojciec. Oczywiście najpierw próbuje wyperswadować mu jego decyzje, ale gdy on nie ustępuje, po prostu się godzi. Matka twierdzi, że w jej postępowaniu tkwi tajemnica szczęśliwego małżeństwa, ojciec też tak uważa.

- A pani?

- Według mnie decyzje powinny być podejmowane wspólnie i trzeba zawsze dążyć do kompromisu, który mogłyby zaakceptować obie strony. Ale, rzecz jasna, bardzo się cieszę, że mój ojciec jest szczęśliwy w małżeństwie. To wspaniały człowiek, któremu wiele zawdzięczam.

- Z pewnością jest z pani dumny - powiedział Zachary, uśmiechając się do Indiry i z uznaniem oglądając założone przez nią szwy.

- Pierwszorzędna robota. Proszę mi wierzyć, bo jestem już w tych sprawach ekspertem. W końcu byłem operowany przez najlepszych londyńskich chirurgów!

- Dziękuję! To bardzo miły komplement! - odparła ze śmiechem. - Mój ojciec jest rzeczywiście szczęśliwy, że zdobyłam dyplom i pracuję w szpitalu. Myślę, że spełniłam jego marzenia. Gdy zaczęłam tu pracować,

wpadał jak bomba tylko po to, by zobaczyć mnie w lekarskim fartuchu i opowiadać wszystkim, że jestem jego córką!

- To bardzo sympatyczne. Mnie też korci, by biegać po szpitalu i pokazywać, jak wspaniale założyła mi pani szwy.

- Panie West, nie wolno panu ze mną flirtować, bo jestem zaręczona z bardzo zazdrosnym chirurgiem z tego szpitala. Nie byłby zadowolony - odpowiedziała chichocząc i rumieniając się.

- Czy pani ojciec go akceptuje?

- Absolutnie. Rodzina mojego narzeczonego, tak jak moja, przyjechała tu z Delhi. Ale nasze przyszłe małżeństwo nie będzie, jak pan pewnie podejrzewa, realizacją kontraktu zawartego wcześniej zgodnie z hinduskim obyczajem. Rodzice akceptują nasz wybór i są z niego bardzo zadowoleni. Właśnie teraz, w czasie świąt, spotkali się w Delhi, by poczynić przygotowania do naszego ślubu.

Luisa przysłuchiwała się tej rozmowie z zaskoczeniem. Znała Indirę od dość dawna, bo z Izby Przyjęć wielu pacjentów trafiało bezpośrednio na jej oddział. Jednak po raz pierwszy mogła podziwiać otwartość, z jaką pochodząca z Indii młoda lekarka opowiadała o sobie, swojej rodzinie i hinduskich obyczajach. Zaskoczyło ją też, że Zachary jest taki ujmujący w rozmowie z Indirą, podczas gdy ją traktuje nadzwyczaj nieuprzejmie. Było jej przykro.

- Proszę oszczędzać tę rękę, bo nie chcielibyśmy, by popękały szwy - napominała go Indira.

- Będę uważał, pani doktor.

Wrócili z Luisą do gabinetu siostry oddziałowej, by umówić się na zdjęcie szwów.

- A więc pracuje pani w święta? Czy naprawdę nie ma pani nic przeciwko temu?

- Wolne dostają głównie osoby mające dzieci. Ale święta w szpitalu mają swój urok i wiele osób chętnie wtedy pracuje, zwłaszcza ci, którzy żyją samotnie.

- Jak pani - zauważył oschle. - I jak ja.

- Nie ma pan rodziny?

- Zapraszała mnie siostra, lecz odmówiłem. Trzeba mieć końskie zdrowie, by wytrzymać z jej dziećmi przez kilka dni. To domowi terroryści. Psują wszystko, czego dotkną, i chcą, by je bez przerwy zabawiać. W ogóle nie wychodzą na dwór i trzeba z nimi oglądać telewizję lub filmy na wideo albo grać w te przeklęte gry elektroniczne czy też słuchać rocka. Po ich powrocie ze szkoły życie w tym domu przypomina piekło.

- Gdzie mieszkają?

- W Prowansji.

- We Francji? - spytała głupio, bo była pewna, że wymieni Londyn.

- Kiedy ostatni raz patrzyłem na mapę, to jeszcze była Francja - zażartował złośliwie.

- Szczęśliwcy - powiedziała, patrząc rozmarzonym wzrokiem. - Na pana miejscu pomknęłabym tam lotem błyskawicy, bez względu na to, jak hałaśliwe są te dzieci. Chciałabym, by ktoś zaprosił mnie do Prowansji.

- W porządku. A więc jadę tam, jeśli pojedzie pani ze mną.

Z wrażenia zabrakło jej tchu i popatrzyła na niego zaskoczona, ale oczywiście uznała jego propozycję za swoisty dla niego żart i roześmiała się.

- To niesłychane - odrzekła z ironią.

- Wcale nie żartowałem.

- Przykro mi, panie West, ale nie mam czasu na udział w pana ulubionej zabawie. Muszę zająć się pacjentami - pożegnała go ze złością.

Gdy Zachary West stał przez chwilę niezdecydowany przy drzwiach, usiłowała skupić się na pracy. Ale choć próbowała o nim zapomnieć, i tak towarzyszyła mu w myślach, kiedy wsiadał do taksówki i odjeżdżał. Po jego wyjściu odprężyła się trochę. Mimo to oprócz ulgi czuła żal, że już go tu nie ma. Nagle głos Indiry wdarł się w jej wzburzone myśli.

- No i jak przeszedł ci dzień w Izbie Przyjęć? - spytała ją z ciężkim westchnieniem.

- Szczerze mówiąc zapomniałam już, że tak ciężko się tu pracuje. Niemal przez cały czas byłam na nogach i padam ze zmęczenia.

- Na twoim oddziale jest oczywiście spokojniej.

- W każdym razie częściej mogę usiąść.

- A my prawie stale jesteśmy w ruchu, ale taka tu praca. Muszę powiedzieć, że spisywałaś się wspaniale. Gdybyś kiedykolwiek chciała się tu przenieść, przyjmę cię z otwartymi ramionami. Myślę, że przyzwyczaiłabyś się bardzo szybko. A poza tym - kusiała ją Indira - pamiętaj, tu się traci zbędne kilogramy.

- Wybacz, Indiro, ale jestem zadowolona z pracy na Oddziale Oparzeń. To z pewnością ciężka praca, mam jednak poczucie, że robię coś naprawdę pożytecznego - odmówiła Luisa stanowczym tonem, choć roześmiała się z żartu lekarki.

- Rozumiem cię doskonale, ale szczerze żałuję - odpowiedziała Indira. - Tak czy inaczej, baw się dobrze w czasie urlopu. Czy będziesz się widziała z Davidem?

- Nie. Wyjechał na święta do rodziców do Walii i wróci dopiero po Nowym Roku.

- Nie zaproponował ci wspólnego wyjazdu? - wyrwało się Indirze, lecz zmieszana z powodu wymownego spojrzenia Luisy zaczęła ją przeproszać za tę niedyskrecję. - Przepraszam, jeśli okazałam się zbyt wścibska... Po prostu myślałam... Spotykacie się przecież z Davidem od wielu miesięcy. Wydawało mi się, że wasza znajomość to coś... poważnego... na tyle poważnego, by chciał spędzić z tobą okres świąteczny...

- Za wcześnie na to - ucieła Luisa.

Prawda była taka, że David proponował jej, by pojechali na święta do jego rodziców. Jednak wtedy jeszcze nie wiedziała, że ojciec i Noelle wybierają się do Szwajcarii. Myślała, że spędzi święta z nimi. Gdy ojciec oznajmił jej w końcu, że wyjeżdża z Noelle na narty, nie powiedziała o tym Davidowi w obawie, że ponowi zaproszenie. Nie chciała z nim pojechać, bo wtedy ich stosunki stałyby się bardziej zażyłe i zobowiązujące. W ciągu ostatnich miesięcy umawiali się często, lecz ich kontakty wciąż były tylko koleżeńskie. David coraz bardziej się niecierpliwił. Zaczął nalegać by zaczęli ze sobą sypiać. Widziała, że jest zaniepokojony jej ciągłą odmową. Nie chciała ranić jego uczuć. Nie zamierzała jednak kochać się z nim tylko dlatego, że poprawiłoby mu to nastrój. Nie zamierzała występować w roli pocieszycielki sfrustrowanego mężczyzny.

Największe znaczenie miało jednak to, że nie David Hallows, lecz Zachary West był tym mężczyzną, na którego widok po raz pierwszy w życiu zadrżało jej serce. Był zdolny rozbudzić ją zmysłowo samym tylko spojrzeniem, podczas gdy Davidowi nie udało się to nigdy. Jednak Zachary bawił się nią nawet wtedy, gdy ją całował. Musi wybić go sobie z głowy! Z tym postanowieniem położyła się spać.

Nazajutrz w południe wybrała się na przejażdżkę samochodem. Dzień był chłodny, ale bardzo pogodny, więc postanowiła pojechać nad morze. Pomyślała, że zje lunch w jakimś miłym miejscu na wybrzeżu. Były tam hotele ze znakomitymi restauracjami. Wkrótce znalazła się w Tareton. Osada była niemal wyludniona, tak jakby ludzie siedzieli w domach, by dojechać do siebie po świętach. Zanim zobaczyła kapitański domek Zacharego Westa, przyznała się wreszcie przed sobą, że od początku wiedziała, iż tu skończy się jej wyprawa. Wymyśliła nawet pretekst dla tych nie zapowiedzianych odwiedzin, ale gdy zobaczyła Zacharego, jak stoi w drzwiach, przesywając ją wzrokiem, słowa uwięzły jej w gardle.

- Witam znowu. Czyżby zmieniła pani zdanie w sprawie tej wycieczki do Prowansji? - odezwał się kąśliwie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Byłam ciekawa, czy ma pan jakąś pomoc. Nie powinien pan posługiwać się skaleczoną ręką - tłumaczyła się pałowa jak róża.

- Czy pani jest również opiekunką społeczną? - spytał, patrząc na nią ironicznie.

- Jasne, że nie jestem, ale skoro tędy przejeżdżałam...

Nie dokończyła, bo spojrzała w stronę pokoju gościnnego i ze zdziwieniem stwierdziła, że panuje tu dziś niesamowity bałagan. Wszędzie na podłodze leżały porozrzucane książki i mnóstwo innych przedmiotów, a z kredensu zostały wyciągnięte wszystkie szuflady.

- Wielkie nieba... Co pan tu, u licha, robił? Czy to przeprowadzka?

- Jaka tam przeprowadzka. Gdy byłem wczoraj w szpitalu, ktoś włamał się do domu.

- Włamał się? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- Och! To straszne! Czy ukradli panu coś cennego?

- Zabrali telewizor, wideo, sprzęt stereo i kuchenkę mikrofalową.

Słowem wszystko, co można łatwo sprzedać.

- Wezwał pan policję?

- Byli tu wkrótce po moim telefonie, ale niedługo zabawili.

Powiedzieli, że mają za mało ludzi i że w czasie świąt było wiele włamań.

Niestety, nie znaleźli odcisków palców ani żadnych innych śladów.

- Czy ma pan kogoś, kto mógłby tu posprzątać?

Normalnie przychodzi sprzątaczką, ale teraz ma wolne. Właśnie zabierałem się do roboty, gdy pani nadeszła.

- Pomogę panu! - wykrzyknęła spontanicznie.

- Nie odmówię - odpowiedział bez emocji. - A jeśli zdążymy z tym na czas, zjemy lunch w „Czarnym łabędziu” w Tareton. Gwarantuję, że to najlepszy pub w okolicy. Ale oczywiście musi nas tam pani zawieźć, bo przecież nie prowadzę.

Luisa uradowana, że nie odmówił, zdjęła swoją czerwoną kurtkę, by zabrać się do pracy.

- Jeśli ma pan w domu jakieś jedzenie, z przyjemnością sama coś dla nas przygotuję. Czy to jedyny tak spustoszony przez włamywaczy pokój?

- Na szczęście tak. Oczywiście byli na piętrze, ale to, co ich interesowało, znaleźli tu, w pokoju gościnnym. A poza tym pewnie się śpieszyli, chcąc zdążyć przed moim powrotem, więc nie mieli zbyt wiele czasu na splądrowanie góry.

Luisa była zmęczona, bo ostatnio nie miała przecież chwili wytchnienia w szpitalu, a sprzątanie po włamywaczach nie należało do zajęć łatwych. Była jednak przyzwyczajona do ciężkiej pracy i sprzątała bardzo wytrwale, tak że w końcu pokój wrócił do normalnego wyglądu. West bardzo chciał jej pomagać, lecz widząc jaki jest blady, poleciła mu usiąść.

Wzruszył ramionami i usiadł w fotelu. Przez chwilę przyglądał się jej, po czym wyszedł do kuchni. Była mile zaskoczona, gdy wrócił z kawą i kanapkami.

- Niestety, pub jest już zamknięty, ale mamy kanapki, choć są niezbyt urozmaicone. Niechże pani już przestanie pucować ten stół i umyje ręce, żebyśmy mogli zacząć jeść.

- Co, u diabła, popycha ludzi do robienia tak nikczemnych rzeczy? Żeby tak zniszczyć piękny, zabytkowy stół! - powiedziała, patrząc z żalem na głębokie rysy, jakie włamywacze pozostawili na blacie.

- To późny styl georgiański. Stół nie jest dla mnie zbyt cenny, ale należy do mojej rodziny od 1820 roku, więc nie chciałbym go utracić. Na szczęście znam kogoś, kto potrafi genialnie odnawiać zniszczone meble. - Komentował zajście głosem tak przejętym i z takim napięciem na twarzy, że z powodu blizn przypominała teraz groźną maskę.

- Skończone - odezwała się jakby do siebie Luisa i rozejrzała się po pokoju. - Chyba wszystko wróciło na swoje miejsce.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości! Proszę więc nie marudzić, tylko pójść do łazienki. Jest na górze, na lewo od schodów.

Łazienka była urządzona z wielkim smakiem. Utrzymana w cytrynowożółtej tonacji, miała znakomicie dopasowane do siebie detale. Nawet mydło było w tym kolorze i pachniało cytryną. Było świeżo rozpakowane. Czyżby z myślą o niej?

Gdy weszła z powrotem do pokoju, aromatyczna kawa i kanapki stały już na stole pod oknem. Poczwała nagle, jak bardzo jest głodna.

- Zapraszam do stołu - powiedział na jej widok Zachary i zaczął nalewać kawę, a gdy usiadła, podał jej talerzyk z kanapką.

- Pewnie często żywi się pan samymi kanapkami? - spytała, rozbawiona widokiem grubo, „po męsku” pokrojonego pieczywa.

- To prawda. Jeśli pracuję, szkoda mi czasu na gotowanie czy wychodzenie na lunch do pubu. Jem poza domem tylko wtedy, kiedy akurat nie maluję.

- Maluje pan codziennie?

Pałaszowała kanapkę z pysznym żółtym serem, polanym sosem pomidorowym domowego wyrobu, a Zachary milczał. Gdy spojrzała na niego zdziwiona, spostrzegła, że jego usta są zaciśnięte, a bladą zwykle twarz pokrywa ciemny rumieniec. Zastanawiała się, czym jest tak poirytowany, jakby zapomniała, co jej powiedział, gdy była tu poprzednio.

- Malowałem - wymamrotał w końcu, a z tego krótkiego stwierdzenia przebijała rozpacz.

- Wciąż nie może pan pracować? - zapytała z troską.

Spojrzał na nią z gniewem.

- Przecież już pani mówiłem, że od czasu wypadku nie potrafię malować. Oczywiście, jak widać, fizycznie wciąż jestem do tego zdolny. I mógłbym namalować tyle obrazów, ile bym tylko zechciał. Problem polega na tym, że utraciłem wewnętrzny impuls, który pozwalał mi decydować natychmiast, jaki obraz chcę namalować, bo widziałem go najpierw w swojej wyobraźni. A teraz stoję godzinami przed pustym płótnem, próbując dokonać jakiegoś wyboru, ale... - Urwał gwałtownie, wciąż patrząc na Luisę ze złością.

- Tak mi przykro. To rzeczywiście musi pana wyprowadzać z równowagi...

- Boże! - wykrzyknął, patrząc na nią jak ranne zwierzę. - Co za frazesy... Wyprowadzać z równowagi! - przedrzeźniał ją zjadliwie. - Wyprowadzać z równowagi! Nic pani nie rozumie! To mnie przyprawia o obłęd! Jestem przecież malarzem i malarstwo jest mi potrzebne jak powietrze. Nie pojmuję, dlaczego nie potrafię już tego robić. Rozpaczliwie próbuję, ale im bardziej się staram, tym jest gorzej.

- Może powinien pan dać sobie z tym spokój na jakiś czas? - zasugerowała cicho. Panowała nad sobą, ale z powodu tego wybuchu siedziała sztywno i przestała jeść.

- Myśli pani, że tego nie robiłem? Próbowałem wszystkiego, co przyszło mi do głowy, ale bez powodzenia. Och! Proszę skończyć kanapkę i wypić kawę, zanim będzie zupełnie zimna!

Posłusznie wykonała polecenie, w nadziei, że Zachary trochę się uspokoi. Doskonale przecież wiedziała, że zdenerwowanie może mu zaszkodzić. Gdy skończyła, chwając kanapki, wstał.

- Coś pani pokażę! - powiedział ciągle podniecony i zaprowadził ją do pracowni.

Oszłomiło ją to wnętrze. Zresztą nigdy dotąd nie była w pracowni malarza. A pracownia Westa mieściła się w specjalnie zaprojektowanym pawilonie, który został dobudowany z tyłu kapitańskiego domku. Pawilon miał dwie prawie całkowicie przeszklone ściany, tak że nawet w czasie pochmurnych zimowych dni było tu z pewnością jasno.

Pośrodku pracowni stały sztalugi.

-To wszystko, co zrobiłem w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy! - powiedział i gniewnym gestem pokazał umieszczony na nich obraz.

Podeszła bliżej i zbita z tropu wpatrywała się w płótno pochlapane na czerwono wściekłymi uderzeniami pędzla.

- Przykro mi, ale kompletnie się nie znam na sztuce nowoczesnej - powiedziała przepaszająco.

- Kobieto, co ty znowu pleciesz! Przecież to nie jest żadna sztuka. Jednego dnia byłem tak rozpaczliwie przybity, że po prostu zasmarowałem płótno czerwoną farbą. Tylko to potrafiłem „namalować”.

- Rozumiem... Ja... Tak mi... - zaczęła się usprawiedliwiać.

- Niechże pani nie zaczyna mnie znowu przepraszać, bo nie ręczę na siebie! - przerwał jej brutalnie.

- A co ja mogę innego powiedzieć? - spytała z przestraczem, cofając się nerwowo w stronę przeszklonej ściany.

Nagle zza chmur wyszło słońce i oświetliło jej smukłą sylwetkę, której zgrabną linię znakomicie uwydatniała szaroniebieska sukienka.

- Proszę tak stać! - polecił jej szorstkim tonem.

- Dlaczego? - spytała wyraźnie zakłopotana. Zachary chwycił szkicownik i zaczął ją rysować.

- Rysuje mnie pan? - spytała z zadowoleniem, ale nie dość przytomnie, by nie usłyszeć złośliwego komentarza.

- A pani myślała, że co robię?

Zignorowała tę złośliwość, podniecona myślą, że Zachary West zaczął wreszcie pracować i że ona go do tego zainspirowała. Naprawdę się tym ucieszyła.

- Czy mogę zobaczyć? - poprosiła, gdy po chwili odłożył szkicownik i zaczął oglądać rysunek. - Jaki wspaniały! Panie West, naprawdę jest pan bardzo zdolny! Zazdroszczę panu! Ja nie mam ani za grosz talentu! - wykrzykiwała na widok kilku linii, które znakomicie oddawały jej podobieństwo.

- Jest pani bardzo dobrą pielęgniarką, siostró Gilbey! To naprawdę nie byle jaki dar natury - odwzajemnił się, jakby nie do końca przekonany o jej szczerości.

- Dziękuję, ale to nie to samo - odpowiedziała z powagą. - Dobrych pielęgniarzek jest mnóstwo, o malarzy znacznie trudniej. Kiedy zamieni pan ten szkic w obraz?

- Co? - spytał zdziwiony i spojrzął na nią z sarkazmem. - Szczerze żałuję, ale malowanie to zupełnie coś innego. Nigdy nie straciłem zdolności robienia szkiców. Szkicowanie sprowadza się do tego, że szybko przenosi się na papier to, co ma się przed oczami. To trwa tylko chwilę, a namalowanie obrazu wymaga czasu. Może zabrać wiele tygodni, a nawet miesięcy... Jednak przede wszystkim wymaga wyobraźni. I trzeba dokładnie wiedzieć, dlaczego i co się chce pokazać. A tego właśnie brakuje mi od miesięcy. Inspiracji.

- Rozumiem - odpowiedziała spokojnie, ale była tą odpowiedzią srodze zawiedziona. Odczuwała zażenowanie i upokorzenie. Prawdopodobnie spostrzegł jej naiwną pewność, że dzięki niej wraca do malowania, i bez skrpułów wybił jej to z głowy.

Zachary cisnął w kąt szkicownik i podszedł do niej.

- Co pani sądzi o moim ogrodzie? Sam go zaprojektowałem. Oczywiście teraz nie jest najlepsza pora, by go podziwiać. Ale posadziłem tu wiele krzewów, które są zielone przez cały rok. Z tej strony domu rośliny mają dobrą osłonę od wiatru i już teraz zaczynają kielkować przebiśniegi, żonkile i krokusy.

- Jest pan zapalonym ogrodnikiem?

- Ogrodnictwo to bardzo uspokajające zajęcie. Proszę spojrzeć, tam rośnie moja ulubiona magnolia. Wkrótce będzie kwitnąć.

Stał tak blisko, że dotykał jej ramieniem. Czowała zapach jego ciała i serce zaczęło jej bić jak oszalałe. Pokryte pąkami drzewko magnolii

widziała jak przez mgłę. Przerażona tym, co się z nią dzieje, próbowała pośpiesznie odwrócić się od okna, ale w tym momencie odwrócił się również Zachary. Wpadli na siebie. Luisa straciła równowagę i żeby nie upaść, uczepiła się jego swetra.

- Przepraszam... - wyjąkała i podniosła ku niemu zmieszaną twarz. Modliła się, by nie odkrył, że jest taka spięta i niezgrabna z powodu jego fizycznej bliskości.

- Powinna pani bardziej uważać - wycodził z drwiną. - I proszę tak nie drzeć. Niech pani pamięta, że mogę to odczytać jako zaproszenie. Gdy poprzednio panią pocałowałem, niewiele brakowało, by zemdląła pani z obrzydzenia. Czy chce pani, żeby się to powtórzyło?

Bardzo zmartwiła się tym, co powiedział. I mówił takim strasznie nieprzyjemnym tonem. Zastanawiała się, czy rzeczywiście uważał, iż jest tak odpychający, że aż zrobiło się jej słabo z powodu tamtego pocałunku. Ale nie wiedziała, co powiedzieć, by jej słowa nie zabrzmiały dwuznacznie...

- Ja wcale nie uważam, że pan... To znaczy... To nie dlatego... Och! Proszę nie myśleć... - plątała się i patrzyła na niego zrozpaczonym i pełnym współczucia wzrokiem. - Nie wolno panu myśleć, że przestał pan być bardzo atrakcyjnym...

- Doprawdy? - spytał kpiąco i roześmiał się. - Ale skoro pani tak uważa...

Objął ją w talii i przygarnął do siebie tak, że ich ciała się dotknęły. Zaczął zmysłowo wodzić dłonią po jej plecach i szyi, przyciskając do siebie mocniej. Luisa nie potrafiła opanować drżenia. Poczowała się tak, jakby rozglądała się leniwie po plaży i nagle porwał ją gwałtowny

przyływ - niezdolną, by mu się oprzeć, i bezwolnie unoszoną na wzburzonych falach. Zamknęła oczy, chcąc odgrodzić się od świata, od tego pokoju i ogrodu, od rzeczy, które tu były, by przypadkiem nie ostrzegały jej swoją obecnością przed szaleństwem uczucia, by nie odebrały jej uniesienia, którego teraz doznawała dzięki temu mężczyźnie. To nic, że kłóciło się to ze zdrowym rozsądkiem. Nie chciała być rozsądna. W tej chwili chciała tylko doznawać przyjemności, o której do tej pory mogła zaledwie marzyć. I gdy jego szorstkie usta spoczęły na jej spragnionych wargach, westchnęła z rozkoszy. Otoczyła ramionami jego szyję i poddała się tej słodkiej pieśczoście. Poczula dłoń

Zacharego na swoim pośladku i podniecony ruch jego ciała. Całował ją coraz namiętniej. Luisa czuła jego przyśpieszony puls. Wiedziała, że Zachary jej pragnie, a i ją rozpalał teraz ogień pożądania.

Nagle przyszło jej do głowy pytanie, czy Zachary rzeczywiście pragnie jej samej, czy też może po prostu potrzebuje jakiegokolwiek kobiety, pozbawiony od dawna kontaktów seksualnych. Jednak ta wątpliwość tylko ją rozżłościła. Pomyślała, że w gruncie rzeczy to nieistotne; że w tej chwili liczy się tylko to, że Zachary West chce z nią być. Teraz już wiedziała na pewno, że pragnęła go od czasu jego pobytu w szpitalu w Whinbury. Ale do tej pory nawet nie potrafiła rozpoznać swego pragnienia. Była przekonana, że kieruje nią zwykłe współczucie. Często jej się to zdarzało w przypadku szczególnie poszkodowanych pacjentów, uznała więc, że jej uczucie wobec Zacharego Westa jest uczuciem pielęgniarki troszczącej się o swojego pacjenta. Dołączyło do tego poczucie winy, ponieważ to jej ojciec był odpowiedzialny za wypadek. Dopiero teraz uświadomiła sobie jasno, że ten artysta nie tylko rozpalił w

niej miłość, ale i pobudził zmysły. Dzięki niemu nareszcie przestała się obawiać, że jest zimna i niezdolna do pełnego namiętności uczucia, które opiewają poeci.

Zaczął nagle całować jej szyję i rozpinąć guziki sukienki, a ona zanurzyła dłonie w jego włosach. Czuła, jak przepelnia ją rozkosz, gdy pochylił się i zaczął obsypywać pocałunkami piersi, pieszcząc zarazem dotykiem rzęs jej nabrzmiałe sutki. Te delikatne poruszenia pobudziły ją tak mocno, że zaczęła drżeć jeszcze bardziej i niemal zabrakło jej tchu. Krzyknęła z rozkoszy.

Słyszając ten krzyk Zachary znieruchomiał i uniósł głowę. Oddychał ciężko, a jego twarz oblewał silny rumieniec. Wkrótce jednak był znowu blady i napięty, jakby jakimś nadzwyczajnym wysiłkiem woli zdolny był opanować się w jednej chwili. Ze złością uwolnił ją z uścisku.

- Przepraszam - wymamrotał nierównym, zdyszczanym głosem. - Boże! Proszę tak na mnie nie patrzeć! Drży pani niczym królik w pułapce! - wykrzyknął i wyciągnął rękę, jakby chciał jej dotknąć. - W porządku, już się opamiętałem - powiedział spokojniej. - To miał być tylko niemądry żart. Ale w ogóle nie powinienem pani dotykać! Proszę mi wierzyć, seks to naprawdę ostatnia rzecz, która zaprzęta moją uwagę.

Słyszając to odwróciła się w stronę ogrodu. Policzki paliły ją jak ogień z powodu urażonej dumy, a serce przepelniała rozpacz. Czuła się tak strasznie poniżona tym, co powiedział. Świadomość, że Zachary potraktował to wszystko jako żart, była dla Luisy nie do zniesienia. Nie potrafiła wydobyć z siebie słowa.

- To po prostu wymknęło mi się spod kontroli - zaczął po chwili milczenia. - Jest pani pielęgniarką, więc prawdopodobnie przeszła pani

odpowiedni trening psychologiczny i potrafi zrozumieć, co mi się przydarzyło. Wtedy, gdy pocałowałem panią po raz pierwszy, byłem zwyczajnie wściekły, że okazuje mi pani współczucie, a ja tego nienawidzę. Ale teraz, całując panią, myślałem o czymś innym... o kimś innym.

Nie dowierzała własnym uszom. A zatem, całując ją, myślał o kimś innym... Poczula się tak znieważona, że z trudem powstrzymywała łzy. Stała nieruchomo jak posąg i wciąż milczała.

- Oto dlaczego straciłem panowanie nad sobą... - ciągnął Zachary. - Wiem, że to szaleństwo myśleć o tym... o niej... Przecież nawet jej nie znam. Nie wiem, jak się nazywa, gdzie mieszka. Nic o niej nie wiem! - krzyknął z desperacją. - Raz w życiu ją widziałem, nawet nie z bliska, ale... - Ciężko westchnął i dokończył: - Ona nie daje mi spokoju. Czy pani to rozumie?

- Tak - powiedziała bardzo cicho, jakby z głębi własnego bólu. - Rozumiem - powtórzyła.

Rzeczywiście pojmowała to o wiele lepiej, niż mógł przypuszczać. Od kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, nie dawał jej spokoju i z każdym dniem było coraz gorzej.

- Naprawdę? - spytał z niedowierzaniem. - Bo ja nie rozumiem. Gdyby ktoś powiedział mi wcześniej, że będę tak obsesyjnie myślał o kobiecie, której nawet nie poznałem, po prostu bym go wyśmiał. Wiem, że to rodzaj choroby, ale nie potrafię się z niej wyleczyć. Wiem też, że wszystko dzieje się tylko w mojej wyobraźni, że to miraż. Powtarzałem sobie setki razy, że to szaleństwo zakochać się w dziewczynie, z którą nawet nie zamieniłem słowa, o której nic nie wiem.

Przez chwilę chodził nerwowo po pracowni, trzymając ręce w kieszeniach.

- To jakiś obłęd! - wykrzyknął nagle i roześmiał się cierpko. - Przecież ona może być tępą jak noga stołowa. Może to zwykła kokietka albo prostaczka bez polotu! Może jest mężatką z dwójką dzieci! Brałem pod uwagę wszystkie możliwe powody, dla których już dawno powinienem o niej zapomnieć. A jednak nie potrafię. Każdej nocy pojawia się w moich snach. I budzę się myśląc o niej.

Luisa obserwowała go w milczeniu. Jego głos, twarz i ruchy zdradzały naprawdę wielką udrękę i wielką namiętność. Wzbudziło to w niej taką zazdrość, że z trudem powstrzymywała się od krzyku.

- Widziałem ją zaledwie raz w życiu - powtórzył. - A co mnie najbardziej zastanawia, to... – podszedł do Luisy i patrzył na nią przymrużonymi oczami, jakby boleśnie raziło go światło - że zdarzyło się to właśnie tamtego popołudnia... Czy myśli pani, że to tylko zbieg okoliczności? Czy dlatego nie mogę o niej zapomnieć?

- Którego popołudnia? - spytała drżącym głosem.

- Czy tego, w którym zdarzył się wypadek? - dodała cicho, taką właśnie odpowiedź odczytując z wyrazu jego twarzy.

- Byłem wtedy między Tareton a Whinbury. Jechałem ostrożnie, bo wiozłem obrazy i nie chciałem, by im się coś stało. Myślałem o wernisażu. Byłem naprawdę przejęty, bo to miała być najważniejsza spośród moich dotychczasowych wystaw. Właśnie zapadał zmierzch, więc włączyłem światła. Nagle z przodu, po mojej prawej stronie, pojawiła się jakaś biel... Nieokreślona plama bieli, jakby unosząca się ponad żywoplotem lub murem... Byłem tym bardzo zaskoczony, ale w pierwszej chwili nie

mogłem się zorientować, co to jest. Odruchowo nacisnąłem na hamulec i furgonetka zaczęła zwalniać.

Zauważył, że Luisa patrzy na niego okrągłymi ze zdumienia oczami, jakby nic z tego nie rozumiała.

- Wiem, że może się to wydać szalone... ale pomyślałem ... Przez chwilę miałem wrażenie, że to... duch...

- Duch? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że wierzy pan w duchy.

- Jasne, że nie wierzę. I oczywiście nie był to duch - zaprzeczył kategorycznym tonem. - Ale chyba pani wie, jak łatwo oszukać wzrok, zwłaszcza gdy zapada zmierzch i wszystko roztapia się w ciemności. Więc tylko przez chwilę tak mi się wydawało. I nawet zacząłem się z siebie śmiać. Nie sądziłem, że mam aż tak bujną wyobraźnię. Bo to była właśnie ta dziewczyna. Szła wolno, ukryta za żywopłotem... Tak, to był żywopłot. Teraz już sobie dobrze przypominam. Za żywopłotem widać było wielki ogród. Pomyślałem, że gdzieś w jego głębi musi być dom. Odniosłem wrażenie, że ta dziewczyna tu mieszka. Była ubrana na biało... w jakiś luźny i powiewny strój, który skojarzył mi się z nocną koszulą z czasów królowej Wiktorii...

- Z nocną koszulą? Spacerowała po ogrodzie w nocnej koszuli? - spytała Luisa jeszcze bardziej zdziwiona.

- Nie sądzę, by rzeczywiście była to nocna koszula. Tak tylko wyglądała w zapadającym zmierzchu - odpowiedział zniecierpliwiony. - Oto i cała historia. Tak dziwna, jakby zrodziła się w mojej wyobraźni, a nie wydarzyła się naprawdę. Sęk w tym, że jednak się wydarzyła. Wcale jej nie wymyśliłem... - podkreślił, gdy spostrzegł, że Luisa wciąż patrzy na

niego z niedowierzaniem. -I wiem na pewno, że dziewczyna była bardzo młoda. W każdym razie absolutnie nie wyglądała na dojrzałą kobietę...

Stanął przed szklaną ścianą pracowni i patrzył rozmarzonym wzrokiem, jakby - zapominając o obecności Luisy - oczami wyobraźni znowu widział tę dziewczynę w zimowym, uśpionym ogrodzie. Zastanawiała się, dlaczego tak niewolniczo przywiązał się do obrazu kobiety, którą widział zaledwie przez chwilę, a może tylko sobie wyobraził?

- Była zgrabna i smukła. Miała niezwykle włosy. Długie i czarne, miękko spływające na plecy. Widziałem jej twarz, która przypominała kameę ze wspaniale wygrawerowanymi rysami. To była piękna twarz o jasnej, a trochę bladej cerze. Gdy zatrzymałem samochód, ta dziewczyna spojrzała w moją stronę, ale nie wiem, czy zwróciła na mnie uwagę. Miałem wrażenie, że jest całkowicie pochłonięta własnymi myślami.

Od dłuższej chwili Luisa powstrzymywała się, by nie wybuchnąć pustym śmiechem. A zatem on nie był pewien nawet tego, czy ta pochłonięta własnymi myślami dziewczyna w ogóle na niego spojrzała. To zabawne, pomyślała z ironią. A więc w miłości jest jak na karuzeli, która tylko zwodzi swoimi jaskrawymi barwami i głośną muzyką, bo zakochani bez końca kręcą się w koło, bezskutecznie próbując dogonić ukochaną osobę. A może zdarzyć się przecież i tak, o czym świadczy przykład Zacharego, że gonią za mirażem, za marzeniem, które nie ma nic wspólnego z rzeczywistością!

- Wydawało mi się, że jest nieszczęśliwa - podjął po chwili milczenia. - Przepraszam - dodał z bladym uśmiechem - że mówię o tym bez przerwy... ale przez te wszystkie miesiące z nikim nie potrafiłem o niej

rozmawiać. Wtedy, gdy ją spotkałem, nie mogłem nawet zawrócić, by ją poznać, bo po kilku minutach pani ojciec najechał na mnie. I od tamtej pory nie jestem w stanie prowadzić - powiedział dobitnie, a wyraz jego twarzy stał się na powrót bardzo nieprzyjemny. - Oczywiście wiem, że pewnego dnia znowu usiądę za kierownicą, ale na razie, jak pani mówiłem, jeżdżę taksówkami lub wożę mnie przyjaciele. Nie mogę jednak prosić, by jeździli ze mną po okolicy w poszukiwaniu nieznajomej dziewczyny. Nawet dokładnie nie wiem, gdzie ją zobaczyłem. Pomędzy Tareton a Whinbury, lecz to szmat drogi. A jeśli nawet ją odnajdę... Proszę na mnie spojrzeć! Czy to możliwe, że będzie chciała się ze mną umówić? Przecież taka śliczna dziewczyna nie zechce spotykać się z facetem o takiej twarzy...

- Daję słowo, że wcale nie wygląda pan tak źle, jak pan sądzi...

- Proszę znowu nie zaczynać! No dobrze, jest pani znakomitą pielęgniarką, więc proszę o diagnozę. Czy jestem maniakiem, który ulega iluzji, czy chodzi o coś innego?

- O, z całą pewnością widział pan prawdziwą dziewczynę w prawdziwym ogrodzie i bez wątpienia była taka śliczna, jak pan mówi... Ale to wypadek sprawił, że tak mocno utkwiała panu w pamięci. Leżał pan potem długo w łóżku, skazany jedynie na rozmyślania. Kiedy jednak wróci pan do normalnego życia i zacznie pracować, z pewnością zapomni pan o niej - powiedziała, próbując się do niego uśmiechnąć, i spojrzała z rozmysłem na zegarek. - O Boże! Jak późno! - wykrzyknęła, udając zdziwienie. - Muszę już wracać do domu. Mam nadzieję, że policja schwyta włamywaczy i odzyska pan swoje rzeczy.

- Dziękuję za pomoc w doprowadzeniu mieszkania do porządku.

Gdyby nie pani, pewnie wciąż bym jeszcze sprzątał.

- Drobiazg - odpowiedziała zdawkowo. - Do widzenia.

Jej „do widzenia” brzmiało tak swobodnie, jakby jeszcze wiele razy miała żegnać się w ten sposób z Zacharym Westem. Jednak dla niej te dwa zwyczajne słowa miały smak gorzkości - oznaczały klęskę jej wielkiej miłości.

- Do zobaczenia - rzucił od drzwi Zachary, gdy już wsiadała do samochodu.

Słyszając to pożegnanie Luisa pomyślała, że to, czy się jeszcze zobaczą, zależy również od niej, a ona może do tego nie dopuścić.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dyżur w Nowy Rok był, jak zwykle, bardzo wyczerpujący. Przybyło wielu pacjentów, w tym sporo takich, którzy zbyt hucznie bawili się w sylwestra. Także na oddziale Luisy ruch był większy niż normalnie, ale paradoksalnie była z tego zadowolona, bo gdy pochłaniała ją praca, nie myślała przynajmniej o Zacharym Weście. Jednak wysiłek, jaki wkładała w to, by wybić go sobie z głowy, tyle ją kosztował, że ciągle była poirytowana. W pierwszych dniach stycznia podległe jej pielęgniarki zaczęły na nią patrzeć z przestraczem. Kiedy to sobie uświadomiła, pomyślała ze zgrozą, że zamienia się w potwora. Dobrze jeszcze pamiętała, jak w pierwszych latach pracy sama bała się jędzowatych sióstr przełożonych. Uznała, że bezwzględnie musi zapanować nad swoimi emocjami.

Siedziała w gabinecie, wypełniając zniechęcone kwestionariusze, gdy zadzwonił telefon. Czyżby kolejne wezwanie do wypadku? - pomyślała przerażona. Na oddziale zostało tylko jedno wolne łóżko. Zawsze bardzo się denerwowała, gdy wszystkie były zajęte.

- Oddział Oparzeń. Tu siostra Gilbey - powiedziała w napięciu do słuchawki, ale usłyszała głos ojca. - Witam, tato. Jak się masz? - pozdrowiła go z ulgą.

- Nawet nie pytaj - odpowiedział ponuro.

Z tego, co mówił, wynikało, że pobyt w Szwajcarii dał mu niewiele. Wrócił nawet bardziej podenerwowany, niż był przed wyjazdem.

- A co u ciebie? Wszystko w porządku?

- Praca. Ciężka praca, jak zwykle w czasie świątecznego tygodnia. Przybyło nam wielu pacjentów. Przepraszam, tato, ale nie mogę długo rozmawiać. Muszę za chwilę pójść na oddział.

- Oczywiście. A więc do rzeczy. Nie widziałem cię całe wieki. Co byś powiedziała na wspólny lunch? Kiedy masz wolne?

- Jutro i pojutrze.

- Może pojutrze? - zaproponował ojciec, uznając zapewne, że skoro Luisa pada z nóg, to najpierw musi się porządnie wyspać. - Dostałem pewną ofertę i chciałbym się ciebie poradzić.

- Ofertę?

- Ktoś chce kupić fabrykę. Może to jest sposób na rozwiązanie moich problemów. Niestety, proponuje niewielką sumę. Musiał się jakoś dowiedzieć, że jestem w finansowym dołku, i chce skorzystać z okazji, by tanio kupić, zanim znajdą się inni chętni. Muszę z tobą o tym porozmawiać.

- Tato, przecież ja nie mam pojęcia o interesach. A co z Noelle? Jak ona to widzi?

- Jeszcze jej nie powiedziałem.

-Aaa... Rozumiem... - mruknęła Luisa, zastanawiając się, ile jeszcze różnych spraw ojciec ukrywa przed Noelle. Co to za małżeństwo, w którym mąż musi utrzymywać w sekrecie takie poważne problemy?! Uważała, że żona jej ojca powinna być kimś, komu on ufa i na kim może się oprzeć, a nie osobą, której reakcji się boi. Była coraz bardziej przekonana, że wbrew pozorom Harry Gilbey nie jest w tym małżeństwie szczęśliwy. Poczowała smutek i rozgoryczenie.

- Doskonale wiem, jak zareagowałyby na to Noelle - powiedział ojciec, jakby potwierdzając ponure myśli Luisy. - Po prostu próbowałyby wyperswadować mi sprzedaż fabryki. Jej opinia w tej sprawie nie jest mi potrzebna. Nie byłaby to opinia obiektywna. A ty nie należysz do ludzi, którzy chcą upiec własną pieczeń przy cudzym ogniu. Wysłuchasz mnie i powiesz uczciwie, co o tym sądzisz... Luiso, ja muszę z kimś porozmawiać, a komu mogę zaufać bardziej niż tobie?

- W porządku, tato. A więc spotkajmy się w piątek. Gdzie?

- Może w „Czereśniowym sadzie”?

- Doskonale. O wpół do pierwszej?

- Tak. No to pa - pożegnał ją Harry Gilbey. Nagle usłyszała głos Davida. Czym prędzej wyszła z gabinetu, zdziwiona jego obecnością na oddziale, bo o tej porze nie powinno go już być w szpitalu. Właśnie rozmawiał z Antheą Carter, która na widok Luisy błyskawicznie pierzchnęła.

- Czy masz chwilę, by zrobić mi filiżankę kakao? Padam z nóg po ciężkiej nocy i chciałbym się pokrzepić czymś słodkim - przywitał ją z uśmiechem, ale twarz miał bardzo zmęczoną.

- Powinieneś już dawno być w łóżku - powiedziała z naganą, lecz zrobiła mu kakao i poczęstowała biszkoptami.

- Jestem zbyt zmęczony, by zasnąć. Ale, do rzeczy. Zaczynając od piątku będę miał kilka wolnych dni. Ty też, jak mi się wydaje, nie pracujesz w piątek. Może zjedlibyśmy razem kolację? W „Czereśniowym sadzie”? O ile oczywiście nie masz innych planów - dopowiedział, widząc jej niezdecydowaną minę.

Prawdę mówiąc, nie chciała już umawiać się z Davidem Hallowsem, lecz nie mogła ryzykować zerwania z nim tu, w szpitalu, na oczach wszystkich.

- Chodzi o to, że w piątek już jestem umówiona na lunch...

- Z kim? - przerwał jej ostrym tonem.

- Z ojcem - dokończyła skonsternowana, słysząc nie ukrywaną zazdrość w jego głosie.

- A już się obawiałem, że mam rywala! - wyznał bez ogródek. - Gdyby tak było, powiedziałaabyś mi chyba o tym? Nie chciałbym się dowiedzieć z plotek.

- Nie zrobiłabym ci tego. Możesz być pewny, że jeśli zacznę się umawiać z kimś innym, pierwszy się o tym dowiesz.

- Nie dziw się, że jestem podejrzliwy, skoro nie chcesz się ze mną kochać! - krzyknął z pretensją.

- Opanuj się, Davidzie. Mów ciszej, bo tuż obok, w magazynie z pościelą, jest Anthea Carter.

- Czort z nią - mruknął. - Luiso, musimy o tym porozmawiać. Nigdy nie oczekiwałem, że pójdziesz ze mną do łóżka na pierwszej randce. Podobnie jak ty nie pochwalam tego rodzaju łatwizny... Ale spotykamy się już prawie od roku. Powinnaś się ze mną zgodzić, że tak dłużej być nie może. Nie chcę być twoim bratem, lecz kochankiem.

- Proszę cię, Davidzie... Porozmawiajmy o tym w piątek wieczorem, dobrze?

- Zawsze próbujesz uciec od tego tematu! - krzyknął ze wściekłością i zacisnął pięści, jakby z trudem hamował jakąś nieobliczalną reakcją. -

Mam już dosyć! Nasza znajomość zmierza donikąd, nieprawdaż? Nie sądzę, by ci na mnie zależało!

- Przykro mi - powiedziała cicho. - Nigdy nie chciałam cię zranić.

Myślę jednak, że będzie lepiej, jeśli przestaniemy się widywać.

- Czy to znaczy, że chcesz ze mną zerwać?

Nie była w stanie wydobyć z siebie słowa, ale potakujący ruch głowy wystarczył mu za odpowiedź.

Patrzył na nią przez chwilę z zaciśniętymi ustami, po czym podniósł się gwałtownie z krzesła i wyszedł z pokoju. Usłyszała, z jaką wściekłością otwiera drzwi wejściowe na oddział.

Po powrocie do domu Luisa niemal natychmiast położyła się spać. Nawet nie miała siły, żeby coś zjeść. Napiła się tylko gorącego mleka, rozebrała i po kilku minutach była w łóżku. Miała bardzo dziwny sen. Spacerowała o zmierzchu po ogrodzie, gdy nagle spostrzegła, że biegnie w jej stronę Zachary. Serce zabiło jej z radości mocniej i poczuła się szczęśliwa. Ale kiedy znalazł się przy niej, spojrzął na nią tak, jakby ktoś zadał mu w tym momencie śmiertelny cios. Przez chwilę milczał, po czym z bezsilnym gniewem krzyknął: „Nie jesteś nią! Nie chcę ciebie!”. Odwrócił się i już go nie było, a ona, ugodzona tym boleśnie, stała tam, ze łzami w oczach.

Obudziła się, gdy już było ciemno. Czy to możliwe, że przespałam cały dzień? - dziwiła się, trochę tym przerażona. Zapaliła nocną lampkę i spojrzała na zegarek. Okazało się, że dochodziła siódma! A więc rzeczywiście spała prawie dziesięć godzin, bo położyła się po dziewiątej. Uznała to za swój życiowy rekord, gdyż zwykle spała pięć, sześć godzin. Stwierdziła, że jest już za późno, by pójść do kina lub restauracji, i resztę

wieczoru postanowiła spędzić w domu. Po tylu godzinach snu, kawie i odświeżającym prysznicu, poczuła się nareszcie rześka. Poszła do kuchni, by zrobić sobie na kolację risotto. Bardzo lubiła to danie, a poza tym było łatwe do przyrządzenia i nadawało się do niego tyle różnych rzeczy, które akurat miało się w domu. Czasami wrzucała do ryżu kawałki kurczaka lub ryby, ale dzisiaj w swoim skromnym gospodarstwie znalazła tylko puszkę kukurydzy i fasoli, pomidory oraz zieloną i czerwoną paprykę.

Właśnie skończyła przygotowywać sobie posiłek, gdy zadzwonił telefon. Zgasiła gaz i wyszła z kuchni.

- O, jesteś w domu! - usłyszała w słuchawce szorstki głos Davida. - A więc mogę przyjść? Luiso, musimy porozmawiać. Nie możemy dopuścić, by wszystko skończyło się w taki sposób.

-Davidzie... Ja... - zaczęła mówić, płacząc się ze zdenerwowania. - Posłuchaj, może lepiej spotkać się jutro?

- Nie, musimy spotkać się teraz - zaprotestował kategorycznie i odłożył słuchawkę.

A więc David zaraz tu będzie. Luisa sposepniała, wybita z rytmu jego zachowaniem. Rozumiała oczywiście, dlaczego jest taki wściekły, i nie chciała go za to potępiać. Nie mogła jednak zmienić swoich uczuć. Owszem, lubiła go, ale nie kochała. Co innego może mu powiedzieć za chwilę, jak nie to, że nie czeka ich żadna wspólna przyszłość? Przecież nigdy nie składała mu żadnych obietnic. Ich randki zaczęły się trochę przypadkowo i były podporządkowane bardzo pracowitemu życiu ich obojga. Oburzało ją coraz bardziej, że David od pewnego czasu naciska, by zostali kochankami, a nigdy nie wyznał jej miłości i nie zapytał, czy

ona go kocha. A teraz trochę obawiała się jego wizyty, zważywszy w jakim był nastroju.

Owładnięta nieprzyjemnymi myślami, szła właśnie do kuchni, by rzucić okiem na risotto, gdy znowu zadzwonił telefon. Podbiegła, by podnieść słuchawkę, mając nadzieję, że może David zmienił zdanie i nie przyjdzie.

- Mówi Zachary West - usłyszała znajomy, głęboki głos.

- O, dzień dobry - pozdrowiła go, nie zdradzając, jak jest tym poruszona.

- Proszę posłuchać - przeszedł od razu do rzeczy. - Nie mogę się skontaktować z moim lekarzem, bo pojechał gdzieś w teren do wypadku, a potrzebuję porady... Przez cały dzień strasznie boli mnie głowa i żadne tradycyjne środki nie pomagają. Czy nie ma pani przypadkiem czegoś silniejszego? A może powinienem zażyć podwójną dawkę pastylek nasennych i próbować przespać ten ból?

- Nie, proszę tego nie robić - odradziła mu stanowczo.

Straszny ból głowy? Przez cały dzień? I nic nie pomaga? Wszystko to brzmi niepokojąco, uznała Luisa.

- Jeśli rzeczywiście kryje się za tym coś poważniejszego, lepiej będzie, jeśli przyjadę i zrobię panu rutynowe badania - zaproponowała po chwili namysłu. - Może będzie konieczna wizyta u lekarza. Ale trzeba się upewnić. Będę w ciągu pół godziny.

- Spodziewałem się to usłyszeć. W przeciwnym razie nie dzwoniłbym do pani - odpowiedział cierpięciznym głosem. - Przepraszam, że panią niepokoję, i oczywiście dziękuję.

- Wszystko w porządku - zapewniła go zyczliwie i odłożyła słuchawkę.

Postanowiła wziąć do Zacharego risotto, bo obawiała się, że będzie musiała poczekać u niego na lekarza. Szybko zrobiła makijaż, upięła włosy w swój zwykły koczek, włożyła czerwoną kurtkę i zeszła do samochodu. Gdy wjechała na jezdnię, nagle zobaczyła nadjeżdżającego Davida. Nie patrzyła w jego stronę w nadziei, że nie zauważy jej samochodu. Na skrzyżowaniu spostrzegła jednak, że David zawraca. Ogarnęła ją panika. Za wszelką cenę musiała go zgubić. Na nieszczęście na szosie był spory ruch i nie mogła wyrwać się do przodu. Zagradała jej drogę wolno posuwająca się olbrzymia ciężarówka. Zaryzykowała i przemknęła tuż obok niej. Usłyszała ostry dźwięk klaksonu, ale dzięki temu niebezpiecznemu manewrowi mogła już jechać szybciej i miała nadzieję, że ucieknie Davidowi. Gdy po pewnym czasie spojrzała do tyłu, nie było śladu jego samochodu.

Zaczęła się zastanawiać nad przyczyną tak poważnego bólu głowy u Zacharego. Bardzo ją to zaniepokoiło. Ostatecznie doszła do wniosku, że źródłem tego bólu jest najprawdopodobniej psychiczna udreka spowodowana niemożnością malowania. Zachary doznał wprawdzie w czasie wypadku urazu głowy, lecz, jak dobrze pamiętała, był on niegroźny.

W niecałe pół godziny znalazła się przed kapitańskim domkiem. Właśnie wyjmowała z samochodu pielęgniarzką torbę, gdy usłyszała pisk opon gwałtownie hamującego samochodu. Z przerażeniem stwierdziła, że to David zatrzymał się nagle tak blisko, iż mało brakowało, a uderzyłby w tył jej samochodu. Wsiadł trzaskając drzwiami i podszedł do niej.

- Dlaczego wyszłaś z domu, skoro powiedziałem, że do ciebie przyjdę? Jak ty mnie traktujesz? Żarty sobie robisz, czy co? - wybuchnął gniewem.

- Przepraszam cię Davidzie, przyjechałam na pilne wezwanie - wyjąkała Luisa blednąc.

- Co? Tutaj? O czym ty mówisz? - spytał i rozejrzał się po pustkowiu.

Wtem otworzyły się drzwi frontowe kapitańskiego domku i David oniemiał na widok Zacharego Westa.

- To jest... Ach, tak, przypominam sobie. Był jednym z moich pacjentów... To ten artysta... Nie pamiętam nazwiska - zwrócił się skonsternowany do Luisy.

- Zachary West - odpowiedziała bezbarwnym głosem.

- Co to ma znaczyć? Zadzwoił i poprosił, żebyś przyjechała? Dlaczego właśnie ty? Dlaczego nie wezwał swojego lekarza? I skąd znał numer twojego domowego telefonu? Czy spotykałaś się z nim po tym, jak opuścił nasz szpital? - indagował David, coraz bardziej rozdrażniony. Zupełnie nie zważał na to, że Zachary właśnie do nich podchodzi.

- Widzisz... Ale... - mamrotała zmieszana Luisa, czerwieniąc się i blednąc na przemian. - Właśnie tłumaczę... - zaczęła się usprawiedliwiać przed Zacharym.

- Co pani tłumaczy? - spytał i spojrział arogancko na Davida.

- Tłumaczy panu, panie West, że powinien pan dzwonić nie do niej, lecz do swojego lekarza. Tłumaczy, iż nie jest przekonana, że postąpił pan słusznie, wzywając ją - odpowiedział z nienawiścią David.

- Dzwoniłem do mojego lekarza, ale został wezwany do wypadku - wyjaśnił z nie mniejszą nienawiścią Zachary.

- To dlaczego nie poczekał pan, aż wróci? Dlaczego wydzwania pan do siostry Gilbey? - nie ustępował David. - Dlaczego to było takie pilne? Na moje oko absolutnie nie wygląda pan na pilny przypadek.

- Bolała mnie głowa - powiedział prowokacyjnie łagodnym tonem Zachary.

- Bolała pana głowa?! - Głos Davida był ochryply z wściekłości. - Bolała pana głowa?! - powtórzył, doprowadzony do ostateczności bezczelnością Zacharego. - I w związku z tym zadzwonił pan do niej, a ona natychmiast przyjechała, zapominając o wszystkim!

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie, ale David patrzył wymownie na Luisę. Chciała go jakoś ułagodzić i wytłumaczyć, że naprawdę była zaniepokojona bólem głowy Zacharego. Nie potrafiła jednak wydobyć z siebie słowa, przerażona jego wybuchem i obawiając się, że i tak jej nie uwierzy. Zachary rzeczywiście nie wyglądał teraz na kogoś, komu potrzebna jest pilna pomoc lekarska.

- Tak. To wszystko tłumaczy. Czyż nie mam racji? - spytał ją zimno David, opanowując się w końcu.

- Teraz już rozumiem. Szkoda tylko, że nie powiedziałaś mi o tym wcześniej. Straciłem mnóstwo czasu, całkowicie mylnie odczytując twoje zachowanie wobec mnie. Niezłą miałaś zabawę...

- David! To nieprawda! Mylisz się najzupełniej! - zaprotestowała, zrozpaczona jego podejrzeniami.

- Wcale się nie mylę - upierał się David, spoglądając na nią z ironicznym uśmiechem.

- Za nic w świecie nie chciałabym cię zranić! - zaproponowała z jeszcze większą determinacją.

- Wierzę ci, choć większość mężczyzn nie uwierzyłaby nigdy. Ale znam twoje miękkie serce. Mimo to żałuję, że nie powiedziałaś mi prawdy - odpowiedział i przez chwilę patrzył jej w oczy.

Gdy wsiadł do samochodu i odjechał, długo odprowadzała go wzrokiem. Było jej wstyd, że nie przestała umawiać się z Davidem wiele miesięcy temu, gdy już była przekonana, że ich rozstanie jest nieuchronne.

- Nie myślę się chyba, sądząc, że to pani bliski przyjaciel? - powiedział cicho Zachary.

- Mam nadzieję, że zechce mi pan wytłumaczyć, panie West, jak zdołał się pan wyleczyć z nieuleczalnego ponoć bólu głowy? - natarła na niego z urazą w głosie.

- Po prostu jakoś minął - odpowiedział, wzruszając ramionami.

- Minął?! - Luisa była purpurowa ze złości. - Tak. Zdziwiające, prawda? Gdy otworzyłem drzwi, wciąż czułem się bardzo źle, ale najwidoczniej pod wpływem wydarzeń, jakie później nastąpiły, ból minął. Usłyszałem gwałtowną wymianę zdań pomiędzy panią a tym facetem. Z początku nie miałem pojęcia, o co chodzi. Myślałem, że uderzył w pani samochód albo że pani stuknęła go na skrzyżowaniu. Chciałem panią jakoś wspomóc, gdy raptem zorientowałem się, że nie tylko się znacie, ale że wasza znajomość jest bardzo bliska. Patrzył na mnie jak na mięczaka, a pani tłumaczyła się niczym uczennica.

- A czy zrobił pan coś, by było inaczej? Czy nie mógł pan powiedzieć mu przynajmniej tyle, że przez telefon przedstawił pan swój ból głowy jako bardzo groźny? - wybuchnęła.

- Próbowałem, ale przecież mi przerwał i zaczął krzyczeć na panią - oponował i po raz pierwszy uśmiechnął się do niej szeroko. - A ponieważ ból głowy prawie mi minął, obawiałem się, że mi nie uwierzy.

Luisa podzielała w duchu obawy Zacharego. David z pewnością uznałby go za kłamcę, bo wcale nie wyglądał na chorego. Jak na trudny do zniesienia ból głowy miał zbyt dobrą cerę i zbyt błyszczące oczy.

-I mnie trudno jest teraz w to uwierzyć, panie West - powiedziała lodowato, już niemal pewna, że ją oszukał. - Włóżmy to między bajki - oświadczyła bez ceregieli.

- Ale to prawda - upierał się przy swoim. - Naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego ból tak nagle minął, jednak minął. Może to z powodu adrenaliny, którą mój organizm zaczął gwałtownie wydzielać, gdy znalazłem się w środku tej gwałtownej kłótni.

- Oooo! Cóż więc powiedziała by pan na propozycję następnej?! - spytała tak zaczepnie, jakby wymierzała mu policzek. - Zresztą już czuję się tak, jakby to pomiędzy nami wybuchła gwałtowna kłótnia!

- To brzmi obiecująco! - zrewanżował się i popatrzył na nią złośliwie.

- Po prostu zmarnował pan mój czas - powiedziała nagle cicho, choć wciąż się w niej gotowało, i spuściła oczy.

- Przepraszam - zaczął Zachary, ale w jego głosie nie było śladu skruchy. - Od tylu dni żyję pogrążony w czarnych myślach, że pewnie to im zawdzięczam ból głowy. Do czasu wypadku byłem zawsze bardzo zajęty; malowałem całymi dniami. A teraz snuję się beczynn timer po domu i wykonuję różne rutynowe prace, które w ogóle nie wymagają zaangażowania umysłu. Więc może w końcu się zbuntował?

- I może też przesadził pan z tym bólem, gdy mówił mi pan o nim przez telefon!

- Nie! Proszę mi wierzyć, że nie! Ból był tak silny, że czułem się tak, jakby za chwilę miała mi pęknąć głowa.

Teraz już miała pewność, że Zachary nie kłamie, ale wciąż była na niego zła.

- Wciąż jednak nie rozumiem, dlaczego nie powiedział pan Davidowi prawdy, bez względu na to, czy uwierzyłby panu, czy też nie, zamiast pozwolić mu odjechać w takim stanie. Nie sądzi pan chyba, że to moja zasługa? Niestety, cała wina spada na pana.

- Zrobiłbym to, gdybym był przekonany, że rzeczywiście nie chce się pani z nim rozstać - wycedził.

- Przecież nie ma pan o tym zielonego pojęcia! - wykrzyknęła z wypiekami na twarzy.

- Mam oczy i uszy otwarte. Jestem pewien, że gdyby pani naprawdę chciała wyjaśnić mu wszystko w taki sposób, żeby panią zrozumiał, zrobiłaby to pani.

Musiała przyznać, że Zachary jest bardzo spostrzegawczy, i zaczęła się tego obawiać. Mógł przecież odkryć i inne prawdy o niej. Przeraziło ją, że odgadł, iż jest w nim zakochana, a związanego z tym upokorzenia nie byłaby w stanie udźwignąć.

- Będę się zbierać. Nie jestem już panu potrzebna - stwierdziła po chwili milczenia i odwróciła się, by wsiąść do samochodu.

- Proszę zostać - poprosił Zachary, dotykając jej ramienia.

Zaskoczona, spojrzała na niego nieufnie, a on uśmiechnął się do niej niemal jak bezradny chłopiec, na wpół smutno, na wpół prosząco.

- Od dawna z nikim nie rozmawiałem. Może jesteś głodna? Nie mam w domu nic specjalnego, ale mógłbym zrobić jajka na bekonie albo omlet. Nie zostawiaj mnie samego, Luiso.

- Powinnam wrócić do domu - odparła zgaszonym głosem, choć poruszyło ją to, że po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu.

Rozpaczliwie chciała zostać, ale bała się, że ta wizyta jeszcze bardziej zrani jej uczucia. Zachary był przecież zakochany w kimś innym, a w niej w ogóle nie dostrzegał kobiety. Teraz potrzebował towarzystwa i po prostu pielęgniarka Luisa Gilbey była lepsza niż nikt. Nie wyglądało to zachęcająco.

- Na pewno nie możesz spędzić ze mną godziny? - nie ustępował i wyjął z jej rąk pielęgniarską torbę.

- Co tu jest? Narzędzia tortur? - zażartował.

- Zwykle wyposażenie pielęgniarki - termometr, ciśnieniomierz itd. Myślałam, że będę musiała zrobić panu podstawowe badania - odpowiedziała, próbując bez powodzenia odebrać mu torbę i ignorując zachętę, by mówili sobie po imieniu.

- W porządku. Zrobi pani te badania, by upewnić się, czy ból nie wróci, a potem przygotuję dla pani małą kolację.

- Zabrałam ze sobą jedzenie - odrzekła zmieszana.

- Kiedy pan zadzwonił, ugotowałam właśnie risotto. Pomyślałam, że podgrzeję je u pana, jeśli będę musiała zostać dłużej, czekając na przykład na karetkę...

- Naprawdę pani sądziła, że czuję się aż tak źle? - spytał zdumiony.

- Dobrze jest być przygotowanym na wszystko, a z pana relacji wynikało, że bardzo pan cierpi.

- Tak rzeczywiście wtedy było. Czy w torbie jest również to risotto?

-Tak.

Luisa zdecydowała w końcu, że mimo wszystko przyjmie zaproszenie. Nie miała złudzeń - stanowiła dla niego chwilową rozrywkę i obrażało to jej godność, ale musiała przyznać, że Zachary jej potrzebuje. Nie była wprawdzie w stanie pomóc temu samotnemu człowiekowi uwolnić się od ponurych myśli i uczuć, lecz to przecież ona była winna wypadkowi. Gdyby nie zadzwoniła wtedy do ojca i wymówkami nie wymusiła na nim pośpiesznego powrotu do domu, nie zderzyłby się z furgonetką Zacharego. A on nie cierpiałby teraz na migreny, wywołane stresem związanym z utratą weny twórczej. Luisa zresztą postanowiła nie oszukiwać samej siebie. Prawda była taka, że rozpaczliwie pragnęła być z tym mężczyzną. Czuła się szczęśliwa, gdy mogła choćby patrzeć na niego i słuchać jego głosu. Uznała, że wcale nie musi odmawiać sobie teraz tych krótkich chwil radości, nawet jeśli jej radość jest ułudą lub przysłowiowym rajem głupca. Zachary nie domyślił się niczego. Była pewna, że potrafi ukryć swoje uczucie.

- Starczy dla nas dwojga, jeśli oczywiście nie jest pan zbyt głodny - odezwała się po chwili milczenia głosem zimnym i sztywnym.

Zachary uśmiechnął się. Luisa drgnęła na widok jego wypogodzonej twarzy, bo mimo blizn po operacji plastycznej uśmiech bardzo go odmienił. Zastanawiała się, czy West rzeczywiście uważa, że nie może już podobać się kobietom. Jeśli spostrzegł, co działo się z nią pod wpływem tego uśmiechu, powinien czym prędzej wybić sobie to przekonanie z głowy!

- A na deser zjemy owoce - powiedział skwapliwie i ruszył do kapitańskiego domku, a Luisa wraz z nim. - Tu jest kuchnia - ciągnął, gdy już weszli do środka. - Mam jabłka, pomarańcze i banany, które dostarczono mi dziś rano. Dwa razy w tygodniu miejscowy sklepikarz przywozi mi jedzenie. Każe sobie słono płacić, lecz dostawa do domu jest mi na rękę. Unikam w ten sposób gapiostwa przypadkowych ludzi. Sklepikarz przyzwyczał się już do mojego wyglądu i przestał wybałuszać na mnie oczy, udając równocześnie, że tego nie robi. A najbardziej nienawidzę właśnie ludzi, którzy coś udają.

- Pan sobie to wszystko wymyśla! - zaprzeczyła gwałtownie i potrząsnęła głową. - Owszem, blizny są widoczne, ale twarz wcale nie wygląda teraz tak źle, jak pan to przedstawia!

Zachary podszedł do niej i wziął ją za rękę. Znieruchomiała z napięcia tak, że nie mogła opanować drżenia dłoni.

- Proszę dotknąć mojej twarzy... przesunąć po niej palcami... i powiedzieć mi potem, czy rzeczywiście nie wyglądam źle - powiedział, podnosząc jej dłoń do swojego policzka.

Opuszkami palców przesunęła delikatnie po jego twarzy. Doskonale wyczuwała zgrubienia zrostów. Unikając jego wzroku dotknęła też krótko teraz ostrzyżonych, kłujących włosów i podbródka. Jej zmysły były tak pobudzone, że z trudem trzymała się na nogach.

- Blizny nadają panu zaledwie trochę piracki wygląd człowieka, któremu lepiej nie wchodzić w drogę! - powiedziała w końcu i roześmiała się.

Gdy spojrzała mu w oczy, zorientowała się, że Zachary z wielką uwagą obserwuje jej twarz. Na myśl o tym, że odgadł być może jej podniecenie, mocno się zarumieniła.

- Ale ja chcę się podobać kobietom, a nie odstraszać je pirackim wyglądem - zaprotestował łagodnie.

Z pewnością możesz się podobać, pomyślała, lecz za nic w świecie nie odważyłaby się tego powiedzieć. Nie oparła się jednak pokusie dotknięcia jego ust. W tym momencie uświadomiła sobie swoją rolę i pożałowała samej siebie.

- A więc nie zamierza mi pani powiedzieć, czy jestem pociągający, czy też nie! - droczył się z nią bezwzględnie. - Pani palce są zimne i działają raczej uspokajająco.

Słyszając to gwałtownie cofnęła dłoń, a on się roześmiał.

- Umieram z głodu. Najwyższy czas, by podgrzać risotto - powiedziała z irytacją i zaczęła rozglądać się po kuchni. - O, kupił pan sobie nową kuchenkę mikrofalową! A może to policja schwytała włamywaczy i odzyskał pan starą?

Zachary doskonale wiedział, że umyślnie zmieniała temat, by rozładować napiętą atmosferę.

- To nowa kuchenka - odpowiedział skwapliwie, jakby również on chętnie podejmował neutralny temat. - Takie urządzenia oszczędzają tyle czasu, że zadzwoniłem do sklepu w Whinbury, gdzie kupiłem poprzednią, i poprosiłem, by przysłali mi identyczną. Tak długo musiałem się uczyć obsługi kuchenki, że nie chciałem zaczynać wszystkiego od początku z jakąś nową.

- Wspaniale. Risotto będzie za kilka minut.

- Czy możemy zjeść tu?

Ruchem dłoni wskazał stół i krzesła z sosnowego drzewa. Luisa z uznaniem stwierdziła, że cały wystrój kuchni Zacharego miał ten sam ciepły odcień złocistej sosny. A kremowy kolor ścian i jasne oświetlenie idealnie pasowały do mebli. Podobała jej się ta nowoczesna i ze smakiem urządzona kuchnia.

- Oczywiście - zgodziła się bez oporów. - Ale najpierw zmierzę panu tętno i ciśnienie. Usiądziemy do stołu tylko wtedy, jeśli się okaże, że wszystko jest w porządku - oznajmiła kategorycznie.

Miał lekko przyśpieszony puls i trochę za wysokie ciśnienie oraz podwyższoną temperaturę. Nie przejęła się tym jednak, bo przy jego stale złym samopoczuciu było to naturalne.

- Nie ma się czego obawiać - zapewniła go.

- Przykro mi, że narobiłem tyle hałasu o nic - przeproszał ją solennie.

- Zapomnijmy o tym. Myślę, że jest pan zdrowy, a bóle głowy biorą się z nudy i bezczynności. Musi pan jakoś się przemóc i zacząć malować - odpowiedziała oschle.

- Mam na imię Zachary - podkreślił z naciskiem. Zignorowała znowu jego prośbę, by mówili sobie po imieniu. Była zadowolona, że Zachary nie widzi jej twarzy, bo właśnie myła ręce w zlewie. Potem podeszła do kuchenki mikrofalowej. Wciąż odwrócona do Zacharego plecami, nie odrywała wzroku od kuchenki, zapamiętała studiując umieszczone przy pokrętkach informacje na temat temperatury i czasu podgrzewania potraw. Gdy uznała, że już wszystko wie, włożyła risotto do środka.

- Czy mógłby pan zacząć nakrywać do stołu? Za cztery minuty danie będzie gorące. Może ma pan jakąś sałatkę? - zwróciła się rzeczowo do „pana Westa”.

- Risotto było pyszne - pochwalił jej zdolności kulinarne, sprzątając ze stołu brudne naczynia i wkładając je do automatycznej zmywarki. - Nigdy dotąd nie jadłem jarzynowego risotta. Czy to pani własny przepis?

- Co też pan mówi! Po prostu wrzuciłam do ryżu to, co akurat miałam w domu!

- Ale świetnie pani gotuje, choć można się było tego spodziewać, biorąc pod uwagę pani doświadczenie zawodowe.

- A co wspólnego ma zawód pielęgniarzki z gotowaniem? W szkole nie uczyli nas gotować... - spytała zdziwiona Luisa.

- Jednak jako pielęgniarzka musi pani być spokojna i cierpliwa, a w tym tkwi tajemnica dobrej kuchni.

- Nie powiedziałaabym. Miałam kiedyś pacjenta, który był jednym z najlepszych londyńskich kucharzy. Okazało się, że pewnego razu, podczas gwałtownej kłótni z innym znakomitym kucharzem, Chińczykiem, został ugodzony przez niego tasakiem do mięsa i wylądował w szpitalu. A Chińczyka zabrakło tylko dlatego, że rzucony w jego stronę nóż rzeźniczy chybił celu.

- Stroi sobie pani ze mnie żarty! - odparł ze śmiechem Zachary.

Teraz znowu siedzieli przy stole i West obierał pomarańczę. Uwagę Luisy przyciągnęły jego dłonie o długich, zręcznych palcach. Były to najbardziej zmysłowe dłonie, jakie kiedykolwiek widziała u mężczyzny. Poczwała dreszcz podniecenia.

- A owoce? - odezwał się Zachary tonem lekkiej nagany i uniósł wzrok.

- Tak, oczywiście - odparła zmieszana Luisa i w popłochu sięgnęła po jabłko, by uniknąć jego spojrzenia. - Czy nie myślał pan o hipnozie? Dobry hipnotyzer mógłby pomóc usunąć psychiczną blokadę, która uniemożliwia panu powrót do malowania...

- Jest pani tego pewna? Raczej nie chciałbym być zahipnotyzowany. W hipnozie przeraża mnie to, że ktoś z zewnątrz steruje naszym umysłem.

- Człowiek zahipnotyzowany nigdy nie powie hipnotyzerowi tego, czego nie chce powiedzieć, ani nie zrobi tego, czego nie chce zrobić - zapewniała Zacharego Luisa. - Ale hipnoza jest skuteczna, tak samo jak akupunktura. Jedna z moich przyjaciółek zachorowała kiedyś na bardzo ciężką astmę. Tradycyjne leki hamowały wprawdzie ataki kaszlu, ale musiała zażywać coraz silniejsze dawki. Na dłuższą metę miało to oczywiście rujnujący wpływ na jej organizm. Jeden z pracujących w naszym szpitalu lekarzy poradził jej właśnie akupunkturę. I po kilku miesiącach mogła całkowicie zrezygnować z tradycyjnych leków. Czasami, gdy jest w stresie, zdarzają się jej jeszcze ataki kaszlu, ale jest praktycznie wyleczona. Bo akupunktura zawsze jest skuteczna i nie niesie takiego ryzyka jak medycyna konwencjonalna.

- Nigdy bym się nie spodziewał, że tego rodzaju poradę otrzymam od szpitalnej pielęgniarki! - powiedział z uznaniem Zachary.

- Obecnie jesteśmy już pewni, że alternatywna medycyna może być pomocna - odparła skromnie Luisa.

- Muszę się nad tym zastanowić - zamyślił się West. - Zaparzę teraz kawę, a pani odpocznie w salonie przy kominku.

W pograżonym w półmroku salonie było bardzo nastrojowo. Palila się tylko jedna lampa, tuż obok kanapy, a w kominku buzował ogień. W powietrzu unosił się cudowny, żywiczny zapach płonących drewn. Luisa usiadła i wzięła do ręki leżącą na kanapie otwartą książkę. Ciekawe, co Zachary czyta. Okazało się, że jest to sławna powieść podróżnicza z czasów królowej Wiktorii, wznowiona po raz nie wiadomo który. Zaczęła ją z zainteresowaniem kartkować.

- Mam nadzieję, że zapamiętała pani, na której jestem stronie? - zażartował Zachary, wchodząc z kawą.

- O tak, na siedemdziesiątej trzeciej - odpowiedziała speszona i jak zwykle spiekła raka. - Lubi pan tę książkę?

- Uwielbiam. Dziewiętnastowieczni podróżnicy musieli być bardzo wytrzymali, skoro decydowali się przemierzać niewiarygodnie wielkie odległości w siodle lub po prostu pieszo. Przedzierali się przecież przez afrykański busz, a mieli do dyspozycji zaledwie kilka podstawowych lekarstw. Podejmowali ogromne ryzyko, narażeni na niewyobrażalny trud i choroby.

- W tamtych czasach ludzie musieli być wytrzymali, by w ogóle przeżyć, nie ruszając się o krok od domu. Tyfus i cholera zbierały obfite żniwo przez większą część dziewiętnastego wieku. Przecież nawet małżonek królowej Wiktorii zmarł na tyfus, bo oczywiście lekarze byli bezsilni - stwierdziła sucho.

- Nie wątpię, że znakomicie zna pani historię medycyny, chyba jednak zgodzimy się co do tego, że wyprawa w nieznane była wtedy bardziej niebezpieczna niż siedzenie w domu - zaproponował, trochę poirytowany jej rzeczowością.

- Znowu pan przesadza! - odpowiedziała ze śmiechem.

- A w dodatku jestem starym komplementarzem - powiedział z udawaną złością, podając jej kawę.

Siedząc teraz z Zacharym w tym nastrojowym wnętrzu, w którym płomienie palącego się w kominku ognia rzucały dziwne cienie na pogrążony w półmroku sufit, Luisa czuła dojmującą obecność tego mężczyzny. Zawładnął jej myślami i uczuciami jak nikt na świecie.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

Tej nocy, po wizycie Luisy, Zacharemu po raz nie wiadomo który przyśniła się dziewczyna w białej sukience.

Prowadził samochód pogrążoną w zapadającym zmierzchu drogą, ale nie wiedział, dokąd jedzie. Miał tylko niejasne przeczucie, że kogoś spotka, że coś się wydarzy. I wtedy pojawiła się ona, dziewczyna w białej sukience. Jak zwykle była zbyt daleko, by mógł przyjrzeć się jej dokładnie. Biegła przez ogród bezszelestnie niczym spadający z drzewa jesienny liść, nieuchwytna i delikatna jak oddech.

Nagle, jak to w snach, Zachary znalazł się w ogrodzie. Zaczął przywoływać dziewczynę, ale natychmiast wpadł w rozpacz, bo nie mógł zawołać jej po imieniu. Był pewny, że zna to imię, miał je na końcu języka, ale nie mógł sobie przypomnieć. Wyteżał pamięć, niestety, na próżno. Zaczął biec alejką w stronę, gdzie sukienka dziewczyny jaśniała w zapadającym mroku, lecz nagle biel zniknęła, jakby rozplynęła się wśród drzew. Zachary przystanął i zaczął się bezradnie rozglądać, wciąż nawołując dokoła, ale nie pokazała się już więcej, jakby dokądś weszła. Mimo to nie poddał się i postanowił szukać jej aż do skutku, więc znowu zaczął biec, gorączkowo jej wypatrując. Raz czy dwa zdawało mu się, że wśród drzew mignęły czarne włosy i że usłyszał szelest jej długiej sukienki.

Alejka doprowadziła go do białego domu. Na niebie świecił już księżyc i w jego świetle dom wyglądał widmowo. Zachary zatrzymał się na skraju trawnika i patrzył w szklane tafle okien. W świetle księżyca błyszczały niby lustra i odbijały drzewa. Już miał wracać do samochodu,

gdy nagle w jednym z okien spostrzegł jakąś postać. To była dziewczyna w białej sukience! Stała wśród rozsuniętych zasłon i patrzyła na niego rozmarzonymi, fiołkowymi oczami. Serce zabiło mu mocniej. A więc nareszcie mógł zobaczyć ją z bliska. Olśniła go ta jasna twarz, nieskazitelna niczym kamea, te falujące czarne włosy i delikatna dziewczęca figurka. Dziewczyna wyciągnęła do niego ręce i uskrzydłony zaczął biec w stronę domu. Uszczęśliwiała go myśl, że nareszcie spotka się z nią twarzą w twarz.

Zanim jednak dobiegł, usłyszał, jak naraz ze straszliwym hukiem zatraskują się wszystkie okiennice. Zrozpaczony podszedł do drzwi i zaczął się dobijać. Z całej siły poruszał wielką mosiężną kołatką w kształcie głowy lwa... W tym momencie się obudził.

Był spocony i w pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest i co się z nim dzieje. Ale zaraz usłyszał znajome dźwięki: huk bijących o brzeg morskich fal, pisk hałaśliwych o brzasku mew i wycie wiatru. Z ciężkim westchnieniem podniósł się i spojrzął na zegarek. Dochodziła siódma, ale Zachary czuł się tak znużony, jakby w ogóle nie kładł się spać. Leżąc rozmyślał o swoim dziwnym śnie i zastanawiał się, co też taki sen może znaczyć. Nie dawało mu spokoju zwłaszcza to, że nagle we wszystkich oknach domu zatrzasnęły się okiennice. Czyżby miał przez to rozumieć, że został odrzucony przez dziewczynę w białej sukience? Uznał to za bardzo prawdopodobne. A więc dziewczyna nie jest przeznaczona dla niego. Musi wobec tego zapomnieć o niej, bo choćby nie wiadomo jak i gdzie jej szukał, i tak nigdy jej nie odnajdzie.

Wstał z łóżka zirytowany. Och te sny, czymże one, u licha, tak naprawdę są, zastanawiał się już bardziej trzeźwo, drżąc w chłodzie

zimowego poranka. Nie, nie poddam się, zdecydował w końcu. Pewnego dnia wyruszę na poszukiwanie i odnajdę ją. Wiem, że na mnie czeka...

Zachary był w tej chwili nagi i idąc przez sypialnię bezwiednie spojrzął w lustro. Przyjrzał się sobie krytycznie, ale stwierdził, że znowu jest w tak dobrej formie, jak przed wypadkiem. Jeśli, rzecz jasna, nie brać pod uwagę twarzy, choć i ona prezentowała się teraz znacznie lepiej. Barwa przeszczepów zrównywała się coraz bardziej z karnacją jego skóry, a zrosty stawały się coraz mniej widoczne. I jeśli chirurg rzeczywiście się nie mylił, następna operacja powinna być zarazem ostatnią. Wówczas jego twarz niemal całkowicie powróci do dawnego wyglądu. Z zadowoleniem uświadomił sobie, że ani ramiona, ani klatka piersiowa nie ucierpiały w wypadku. Brzuch miał znowu zupełnie płaski, a cała sylwetka była wysportowana i dobrze umięśniona... Zbawiennie podziałała jesień spędzona w Prowansji, gdzie dużo pływał, spacerował i grał w tenisa. Z tego okresu pozostała mu jeszcze nawet opalenizna.

Zacharego opanowały jednak wątpliwości, czy będzie miał odwagę poprosić o spotkanie kobietę młodszą od niego, jak sądził, o kilkanaście lat, a właściwie dziewczynę, która wyglądała tak niewinnie... Nie! Nigdy się na to nie odważy. Ze złością odwrócił się od lustra i poszedł pod prysznic. Po śniadaniu, które składało się z filiżanki mocnej kawy i pomarańczy, udał się do pracowni. Jak zwykle zaczął się wpatrywać w zasmarowane czerwoną farbą płótno, lecz nagle, w olśnieniu, stwierdził, że nareszcie wie, co chce namalować. Namaluje dziewczynę w białej sukience. Może wtedy przestanie o niej myśleć lub ją odnajdzie?

Tej nocy, po wizycie w kapitańskim domku, również Luisa nie spała dobrze. Co chwila się budziła, wrywana nagle ze snu, bo bez przerwy śnił

się jej Zachary. I zawsze śniona historia urywała się wtedy, gdy Luisa bardzo chciała, by zdarzenia rozwinęły się i wyjaśniły. A były one dziwne i skupiały się wokół seksu. Bez przerwy kręciła się więc w łóżku i budziła rozdygotana.

Śniło jej się, że była z Zacharym na plaży. Leżał obok niej na oślepiająco białym piasku i spał, a ona, wsparta na łokciu, patrzyła na niego. Nie mogła oderwać od niego oczu. Miał na sobie rozpiętą czarną koszulę i dżinsy. Wyglądał bardzo podniecająco. Nagle przekreślił się w jej stronę i ziewając otworzył oczy. Uśmiechnął się do niej, a ona poczuła się bardzo szczęśliwa. Czowała, że właśnie teraz Zachary chce jej coś powiedzieć... coś ważnego... coś cudownego...

W tym momencie obudziła się. Z westchnieniem zerknęła na zegarek. Była trzecia! Leżała w ciemności i rozmyślała o Zacharym, lecz wkrótce zasnęła.

Znowu była z nim na plaży. Ale tym razem miał na sobie jedynie czarne kąpielówki, a na nosie okulary przeciwsłoneczne. Był pięknie opalony. Leżąc przy nim Luisa czuła, że coraz bardziej go pragnie.

- Dotknij mnie - szepnął, a jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

Obudziła się rozdygotana. Była boleśnie zawiedziona, że nie zdążyła go dotknąć, że obudziła się nie w porę. Znowu przez jakiś czas leżała w ciemności, przeżywając na jawie obrazy ze snu, i znowu na krótko zasnęła.

Teraz brodziła wzdłuż plaży Morza Północnego. Na lazurowym niebie unosiły się krzykliwe mewy, a Luisa biegła jakby w przeczuciu, że spotka kogoś, kogo bardzo pragnie zobaczyć. Gdy spostrzegła, że ktoś biegnie za nią, uświadomiła sobie, że jest naga. Usłyszała plusk rozbryzgiwanej wody i zerknęła do tyłu. Roześmiała się, bo to był

Zachary. On również biegł nagi. Oboje byli tak siebie spragnieni, że nie wymknęła mu się, kiedy przyłgął do niej cały mokry. Słodko westchnęła, a on rozluźnił uścisk i zaczął pieścić jej piersi. Po chwili osunęli się do płytkiej przybrzeżnej wody. Baraszkowali przez chwilę, gdy nagle Luisa poczuła na sobie ciężar jego ciała. Zachary nie pieścił już dłońmi jej piersi, lecz obsypywał je namiętnymi pocałunkami, a ona czuła taką rozkosz i podniecenie, że gotowa była na wszystko. Oboje oddychali teraz gwałtownie. Podniosła głowę i zaczęła niecierpliwie szukać jego ust, gdy obudziła się po raz trzeci.

Znowu była roztrzęsiona i bliska płaczu, bo chciała, by ten sen spełnił się do końca, bo rozpaczliwie pragnęła kochać się z Zacharym. Był już ranek, więc wstała i siedząc w kuchni nad filiżanką kawy zastanawiała się nad swoimi snami. Im szybciej wróce do pracy, tym lepiej, uznała w końcu. Kiedy ciężko pracowała, nie miała przynajmniej czasu, by myśleć i marzyć o Zacharym Weście.

W południe wyszła z domu, by zjeść z ojcem lunch w „Czereśniowym sadzie”. Było bardzo zimno. Wiał północny wiatr, a w powietrzu wirowały płatki śniegu. Poczuli się wspaniale, gdy w restauracji ogarnęła ją fala ciepła. O tej porze przy barze siedziało już wiele osób, ale szybko wypatrzyła wśród nich ojca. Uśmiechnął się i pomachał do niej. Gdy podeszła do niego, uderzył ją widok jego zmęczonej i jakby nagle pomarszczonej twarzy. Bardzo się postarzał od czasu wypadku. Nic jednak nie powiedziała.

- Witaj, tato! Przepraszam, że jestem trochę spóźniona, ale utknęłam w korku. Co pijesz? - spytała, zerkając do jego kieliszka. - Nie, nie chcę tego - powiedziała szybko. - Poproszę białe wino. Kelner oddalił się, by

odnieść jej palto do szatni i przynieść wino, a ona usadowiła się na skórzanej kanapie i wzięła z rąk ojca kartę menu.

- Czy ta pogoda nie jest okropna? Wciąż mam sine od mrozu ręce. W taki ziąb koniecznie trzeba zacząć od zupy, na przykład od jakiegoś pysznego bulionu. Zamówię też panierowanego łososa. A ty, tato?

- Och! Jest mi wszystko jedno. Wybierz za mnie - odpowiedział obojętnie.

- Czy dobrze się czujesz, tato? - Popatrzyła na niego z troską.

- Znakomicie - odparł z fasonem, ale brzmiało to zupełnie nieprzekonywająco.

- A jak się miewa Noelle? - spytała z ciężkim westchnieniem.

- Jest bardzo zajęta - stwierdził sucho, a Luisie wydało się, że w tym momencie zmarszczki na jego twarzy jeszcze się pogłębiły. - Wiesz, Luiso, ona naprawdę zna się na interesach i przynosi to efekty. Kiedyś podzielałem jej zapal, ale teraz jakoś mi minął.

Kelner podał wino zamówione przez Luisę i przyjął zamówienie od jej ojca, który poprosił o jedno ze swoich ulubionych win francuskich. Zaraz potem usiedli przy stoliku, bo właśnie podano im zupę. Harry Gilbey szybko przeszedł do interesującego go tematu.

- Fabrykę chce kupić pewna firma, która oferuje sumę, jakiej prawdopodobnie nikt nie przebije, w każdym razie nie w mojej aktualnej sytuacji finansowej - powiedział pośpiesznie. - Gdybym zdecydował się na tę transakcję, Luiso, byłby to spory zastrzyk gotówki. Myślę o ewentualnym odszkodowaniu dla Zacharego Westa.

- A czy nie byłoby rozsądniej wstrzymać się z tym do rozprawy? - spytała, wzdrygając się na dźwięk tego nazwiska. - Miałbyś po prostu więcej czasu na znalezienie lepszego kupca.

- To mało prawdopodobne.

- Ależ tato, z góry się poddajesz! Ja rzeczywiście uważam, że powinieneś najpierw poradzić się Noelle i swoich księgowych. Ale jest także inny problem. Jeśli z wyliczeń wyniknie, że wartość fabryki jest wyższa niż cena, którą ci teraz proponują, a nie sprzedasz jej do czasu rozprawy, to na papierze będziesz miał większy majątek.

Harry Gilbey spojrzał na nią zaskoczony.

- Jesteś bardzo bystra, Luiso. Zamiast zostać pielęgniarką, powinnaś była poświęcić się interesom - orzekł z uznaniem.

- Nigdy mi tego nie mówiłeś, tato. Naprawdę chciałeś, żebym się zajęła biznesem? Kiedy oświadczyłam, że zamierzam zostać pielęgniarką, zachęcałeś mnie do tego - odpowiedziała z lekkim wyrzutem.

- Ależ kochanie, zawód pielęgniarstwa jest naprawdę godny szacunku. No, nie złość się już na mnie. Nigdy nie oczekiwałem, że zajmiesz się biznesem. Uważałem, choć to pewnie staroświeckie, że kobiety nie mają głowy do interesów. Oczekiwałem raczej, że wyjdiesz szybko za mąż - być może za kogoś, kto wspólnie ze mną zajmie się fabryką. Od tamtej pory, a zwłaszcza od chwili, gdy poślubiłem Noelle, dowiedziałem się jednak wiele nowego o kobietach. Jako moja sekretarka była pracowita i skromna. Ale od kiedy została moją żoną, bardzo się zmieniła. Luiso, ja po prostu nie miałem pojęcia, jaka ona jest naprawdę - powiedział ze smutkiem i rezygnacją. - Ale teraz już wiem. To kobieta szalenie ambitna i pozbawiona skrupułów.

Luisa przyznała mu rację, lecz wcale nie cieszyło jej to, że ojcu nareszcie otworzyły się oczy. Choć nie zdołała polubić swojej macochy, wolałaby widzieć go szczęśliwego u jej boku.

- Prawdę mówiąc, panicznie się boję powiedzieć jej o możliwości sprzedaży fabryki. Jeśli się dowie, że jesteśmy w tarapatkach finansowych, zrobi z mojego życia piekło - wyznał Harry Gilbey z ponurą miną.

- Zastanawia mnie jedno - powiedziała w zamyśleniu Luisa. - Jeśli Noelle rzeczywiście zna się tak świetnie na interesach, jak mówisz, to musi sobie zdawać sprawę z waszej sytuacji. Więc wyłóż, tato, karty na stół. Powiedz jej prawdę. Jesteś jej to winien, bo mimo wszystko jest twoją żoną. Ma prawo wiedzieć, jak wyglądają wasze finanse.

Jeszcze przez jakiś czas spierali się o to, ale w końcu Luisie udało się przekonać ojca, by jeszcze dziś wieczorem powiedział o wszystkim Noelle.

- Oczywiście najlepiej będzie, jeśli nie wspomnisz słowem, że rozmawiałeś o tym ze mną.

- Ba... Nawet jej nie powiem, że się widzieliśmy. Tym niemniej jest mi przykro, że się nie lubicie. Ale Noelle rzeczywiście ma trudny charakter - powiedział z ciężkim westchnieniem, choć przed chwilą uśmiechnął się po raz pierwszy od chwili, gdy spotkali się w restauracji. - Małżeństwo to trudna sztuka współżycia, kochanie. Zanim się zdecydujesz, dobrze się przedtem zastanów.

- Zastanowię się! Nie martw się, tato!

- Czy wciąż spotykasz się z tym lekarzem? Jak mu na imię? David?
Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Szkoda - powiedział ojciec i popatrzył na nią z troską. - Lubilem go. Wyglądał na poważnego człowieka.

- Bo jest, ale my nie stanowiliśmy... To nie miało...

- Mniejsza z tym - wszedł jej w słowo, widząc, że jest zdenerwowana. - Pewnego dnia zjawi się twój książę, kochanie.

Po powrocie do domu wciąż słyszała to zapewnienie ojca. Zachary West nie był księciem i nie należał do niej, a jednak bardzo chciała zwierzyć się ojcu ze swojego uczucia do tego mężczyzny. Bardzo potrzebowała z kimś o nim porozmawiać. Ale skoro ojciec miał stanąć przed sądem za spowodowanie tego nieszczęsnego wypadku, był przecież ostatnią osobą, której mogła o tym opowiedzieć.

Zadzwoił do niej następnego dnia.

- Posłuchaj, Luiso. Wczoraj powiedziałem o wszystkim Noelle i wcale nie była zaskoczona. Miałaś absolutnie rację twierdząc, że ona zdaje sobie sprawę z naszej sytuacji finansowej - powiedział wyraźnie odprężony, niemal pogodny. - Tak się bałem to ujawnić, a tymczasem ona sama zorientowała się we wszystkim. Oznajmiła mi, że osobiście zaangażowała się w sprawy fabryki, bo chciała, żebyśmy dostali za nią więcej, jeśli będziemy musieli ją sprzedać. Przez cały czas dąży do tego, by była to dobrze prosperująca firma, a nie bankrut, który może przynieść tylko straty.

-To absolutnie właściwe podejście - stwierdziła obiektywnie Luisa, przyznając w duchu, że powinna zmienić zdanie na temat swojej macochy.

- Noelle nie zgadza się na sprzedanie firmy temu kupcowi, o którym ci mówiłem. Prowadzi teraz interesy z biznesmenem z Birmingham. On ma sieć sklepów na północy Anglii, które nasza firma zaopatruje w różne

wyroby. Noelle uważa, że ten człowiek mógłby się zainteresować firmą jako przyszły wspólnik i udziałowiec, skłonny w nią zainwestować. Zależy mu na stworzeniu sieci sklepów również na południu kraju i chce kupić część firm dostawczych, by zmniejszyć koszty zaopatrzenia.

- A co ty o tym sądzisz?

- Chciałbym już nie musieć podejmować takich decyzji. Zmęczyło mnie prowadzenie interesów. Pracowałem przez większą część życia. Pora odpocząć, Luiso. Częściej grać w golfa!

- A jeśli i golf cię znuży? - spytała z niepokojem.

- Interesy przestały mnie bawić - powtórzył. - A jeśli znudzi mnie leniuchowanie, zawsze mogę wrócić do biznesu. Mam przed sobą, Luiso, jeszcze kilka wspaniałych lat i wciąż jestem w dobrej formie. Chcę cieszyć się życiem. Dość już tej bezustannej harówki od dziewiątej rano do szóstej wieczorem!

- Ale chyba nie urabiałeś się po łokcie tylko dlatego, by zebrać pieniądze na odszkodowanie dla Zacharego Westa?

- Luiso, miałem powyżej uszu prowadzenia interesów, zanim poznałem Noelle. Będę całkowicie usatysfakcjonowany drugorzędną pozycją w firmie: niech tam sobie moja żona i ten przyszły wspólnik samodzielnie kierują fabryką. Oczywiście na co dzień będzie nią zarządzała Noelle. Ona stanie na głowie, byle tylko odnieść sukces i by wspólnik miał zadowalające zyski.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

- Ja też jestem tego pewien!

Gdy wieczorem Luisa przyszła do szpitala, z trudem znosiła atmosferę, jaka tu panowała w związku z jej zerwaniem z Davidem.

Oczywiście on sam nie stwarzał trudności. Nie należał do ludzi mściwych i nie był grubiański. Traktował ją natomiast z ostentacyjną, lodowatą uprzejmością. Sprawiało jej to wielką przykrość, zwłaszcza gdy zachowywał się tak w obecności innych ludzi. Obserwowała, jak wymieniali między sobą wymowne spojrzenia i znacząco kiwali głowami. Bez trudu zorientowała się, że ich rozstanie stanowi publiczną tajemnicę i że mówi o tym cały szpital. Oczywiście potrafiła się opanować i przez cały czas uśmiechała się miło, nie dając po sobie poznać, że o tym wie. Była jednak oburzona, że za plecami rozmawia się o jej prywatnych sprawach i że, wbrew pozorom, David robi z siebie ofiarę. Nic jednak nie mogła na to poradzić, bo musiałaby mu powiedzieć, że i ona jest ofiarą własnych uczuć. Ta niespodziewana miłość zjawiała się nagle i złamała jej życie. A David zareagował na jej znajomość z Zacharym tak, jak można się było spodziewać. Potraktował zerwanie niczym jedną ze swych operacji chirurgicznych, w których bez sentymentów usuwa się zbędną część organizmu.

Wkrótce doszło do niej, że doktor Hallows zaczął się umawiać z nową dziewczyną. Nikt nie powiedział jej tego wprost, ale mówiło się o tym w szpitalu akurat wtedy, gdy była w pobliżu. Niebawem zauważyła, że jedna z pielęgniarek z Oddziału Kobiecego czerwieni się na jej widok. Była to drobna blondyneczka o pięknej cerze i dużych, niebieskich oczach. Luisa nie czuła się dotknięta, że David znalazł sobie przyjaciółkę. Nigdy przecież nie była w nim zakochana. Nie potrafiła jednak opanować zazdrości, gdy w końcu zobaczyła ich razem, jak szli na szpitalny parking. Nie trzymali się za ręce, choć wydawali się tego bliscy. Obudziło to w Luisie wspomnienia jej własnych spotkań z Davidem. Często trzymali się

za rękę, zwłaszcza gdy spacerowali po okolicach Whinbury. I często się do siebie uśmiechali. Tak było, zanim poznała Zacharego i uświadomiła sobie różnicę pomiędzy sympatią do Davida a namiętnością, jaką budził w niej West.

Szybko zganiła się za tę zazdrość. Przecież nie może zachowywać się wobec Davida jak pies ogrodnika. To był wartościowy człowiek i miał prawo do szczęścia, a ona zawsze dobrze mu życzyła. Prawda była taka, że po prostu pozazdrościła mu przez chwilę intymności związku z nową dziewczyną, prywatnego świata dwojga ludzi, do którego nikt nie ma dostępu.

W przeddzień rozprawy zadzwonił ojciec, by jej przypomnieć o tym przykrym dla niego wydarzeniu. Oczywiście zrobił to na wypadek, gdyby zamierzała przyjechać do sądu, choć nie była do tego zobowiązana. Chciała wprawdzie zeznawać jako świadek, ale adwokat uznał, że nie jest to potrzebne.

- Chcę również podzielić się z tobą dobrą wiadomością - powiedział ojciec pełnym otuchy głosem, przerywając jej ponure myśli. - Sprawa udziałów w naszej firmie tego handlowca z Birmingham rozwija się pomyślnie. Nie zawarliśmy z nim jeszcze umowy, ponieważ on chce, by najpierw jego księgowi zapoznali się z naszymi księgami rachunkowymi, ale wygląda na uczciwego. Jest twardy, lecz budzi zaufanie. Polubiłem go. Myślę, że dobijemy z nim targu. Tak więc, córeczko, bez względu na to, co postanowi sąd, jestem teraz spokojniejszy o przyszłość.

- Cieszę się, tato - odrzekła Luisa radosnym głosem, choć wciąż miała wobec niego poczucie winy z powodu wypadku.

Odłożyła słuchawkę i spojrzała na zegarek. Była trzecia, czyli od nocnego dyżuru dzieliło ją jeszcze pięć godzin. Szybko nałożyła makijaż i po upływie dziesięciu minut już wyjeżdżała z miasta w stronę wybrzeża. Pogoda zmieniła się gwałtownie. Przez całą noc padał deszcz i teraz od morza wiał cieplejszy, południowo-zachodni wiatr. W przydrożnych ogródkach zobaczyła pierwsze przebiśniegi. Tego popołudnia wiosna wydawała się być blisko.

Zatrzymała się przed kapitańskim domkiem. Gdy szła w kierunku drzwi, wiatr rozwiewał jej włosy i podrywał spódnicę. Czowała na sobie wzrok Zacharego. Słyszając warkot samochodu, stanął w oknie pracowni i patrzył na nią. Gdy podeszła bliżej, otworzył okno.

- Domyślam się, po co tu przyjechałaś! - powiedział na powitanie i uśmiechnął się z ironią.

- Nie sądzę! - odparowała.

- Idę o zakład... -

- Nie bawię się w takie rzeczy - stwierdziła zimno.

- Po prostu chciałam ci zaproponować podwiezienie jutro do sądu, skoro wciąż nie prowadzisz. Nie będziesz musiał zamawiać taksówki.

- Jakie to przezorne - wycodził. - Czyżbyś sobie wyobrażała, że z wdzięczności potraktuję bardziej ulgowo sprawę odszkodowania za wypadek?

- Nie jestem taką optymistką!

- To znakomicie, bo ja nie mogę tego zrobić! - powiedział szorstko. - Luiso, gdybym mógł, zrobiłbym to, lecz sąd interesują tylko suche fakty, a twój ojciec rzeczywiście znalazł się nagle na moim pasie i brał zakręt z

szybkością rajdowca. Taka jest prawda i ja muszę to powiedzieć na rozprawie.

- Wcale nie chcę, żebyś kłamał - zaprotestowała, wchodząc do pracowni. - Ale czy, wobec tego, zeznasz również, że tuż przed wypadkiem nie byłeś skoncentrowany?

- Co?! - zapytał, unosząc brwi.

Odwróciła się do niego plecami, bardzo podenerwowana. Zaczęła w napięciu rozglądać się po pracowni. Na ścianach wisiały porywające szkice drzew i ptaków, ale nie potrafiła się skupić, by w pełni docenić ich urodę, bo Zachary był tuż obok niej. Czowała na szyi jego oddech.

- Przecież byłeś wtedy zdekoncentrowany, prawda? - odpowiedziała cicho pytaniem na pytanie.

- O czym, u diabła, mówisz? - warknął. Skuliła się ze strachu, ale postanowiła się przemóc i jasno powiedzieć, o co jej chodzi.

- Czy nie byłeś wtedy zbyt pochłonięty rozmyślaniami o dziewczynie, którą dopiero co spostrzegłeś w ogrodzie, by uważać na jezdni?

- Jechałem wolno swoim pasem. Tylko twój ojciec jest winien temu wypadkowi - odpowiedział po chwili milczenia.

-Nie tylko... Choć prawdopodobnie najbardziej zawinił... - zaczęła zaprzeczać z jakąś rozpaczliwą determinacją. - Nie neguję jego winy ani on tego nie robi. Ale gdybyś był bardziej skupiony i nie śnił na jawie o tej dziewczynie, może zdążyłbyś skrócić w porę.

- Byłem skończonym głupcem, że ci o tym w ogóle powiedziałem.

Zachary był w najwyższym stopniu oburzony. Chwycił Luisę za łokcie i szybkim ruchem odwrócił do siebie. Przymknęła powieki, bo nie chciała patrzeć mu w oczy. Nie tylko dlatego, że w gniewie budził lęk.

Obawiała się przede wszystkim tego, że w jej spojrzeniu Zachary wyczyta niepohamowaną namiętność. Podała mu dwa powody wizyty tutaj. Ale był i trzeci. Po prostu musiała go zobaczyć. Czowała się tak, jakby od ich ostatniego spotkania minął rok. Zawsze, gdy nie było go przy niej, czas dłużył się w nieskończoność.

- Ale powiedziałaś - wyszeptała, ledwie mówiąc z powodu emocji, które nią wstrząsały. - A to ma znaczenie dla wypadku. Czy nie uważasz, że powinieneś zeznać to w sądzie, zamiast pozwolić mojemu ojcu dźwigać brzemień całej winy?

Słyszając to Zachary potrząsnął Luisą i pochylił się nad nią.

- A więc po to tu przychodziłaś? - zaczął oskarżycielsko. - By wyciągnąć ze mnie coś, co potem będzie można wykorzystać w sądzie? Kto by pomyślał! Zawsze zachowujesz się tak nieskazitelnie... Idealna pielęgniarzka, słodka i łagodna niczym Madonna ze średniowiecznego obrazu, o oczach jak szafiry i perłowej skórze...

Była tak zaskoczona tym, co mówił, że odważyła się podnieść wzrok, a on w tym momencie przesunął dłonie na jej ramiona i przyciągnął ją bliżej do siebie.

- Powinienem być bardziej ostrożny - wyrzucał sobie, wciąż patrząc gniewnie na Luisę i pochylając się jeszcze bardziej. - Powinienem pamiętać, że bez względu na to jak wyglądasz, jesteś kobietą, a kobiety są przebiegłe i dwulicowe. Zawsze zdradzają...

- To nieprawda! - wybuchnęła zrozpaczona. - Wcale taka nie jestem! Więc nie mów o mnie takich rzeczy, bo sam nie wierzysz w to, co mówisz. Nie powinieneś... Zachary...

Urwała, bo wydawało się jej, że prześwietła ją wzrokiem, patrząc na nią zbyt intensywnie, zbyt badawczo, by zdolna była to znieść. Znowu spuściła powieki. Ale nagle poczuła się jak zahipnotyzowana. Zachary bez reszty wypełnił jej myśli. Bezgłośnie powtarzała to imię i odważnie spojrzała mu w oczy, jakby nareszcie uwolniła się od dotychczasowego lęku. On również nie odrywał wzroku od jej twarzy, wolno przesuując spojrzenie z jej wpatrzonych w niego oczu na drżące usta. Nie miała pojęcia, o czym on myśli, ale teraz, prawdę powiedziawszy, wcale jej to nie obchodziło. Aż do bólu pragnęła tylko jednego - żeby ją pocałował. W końcu nie wytrzymała napięcia.

- Tylko mi tu nie płacz! - krzyknął Zachary.

- Dlaczego kobiety zawsze płaczą, gdy nie mają już nic na swoją obronę? To z pewnością jeden z tych łatwych wybiegów, z których korzystają, by postawić na swoim - powiedział jakby do siebie.

Równocześnie dotknął opuszkami palców jej mokrych rzęs i popatrzył na ślad łez na swojej dłoni. - Nie da się ukryć - prawdziwe - dopowiedział z niedowierzaniem.

- Nienawidzę cię! - wybuchnęła Luisa, zanosząc się łkaniem. I rzeczywiście w tej chwili nienawidziła go niemal tak samo, jak go kochała.

- Nie płacz już. Wygrałaś - powiedział Zachary z rezygnacją. - Zeznam w sądzie, że nie byłem w pełni skoncentrowany, kiedy twój ojciec wyjeżdżał zza zakrętu. To na otarcie łez, bo dłużej nie zniosę tych spazmów.

- Zrobisz to? Naprawdę? Och! Dziękuję... - Luisa uśmiechała się do mego promiennie poprzez strumień łez, których nie potrafiła powstrzymać.

- A czy dostanę coś za to? - spytał zalotnie i przysunął usta do jej warg.

Zamknęła oczy, gdy zaczął ją całować. Od chwili kiedy tu przyszła, nie marzyła przecież o niczym innym. Zachary zsunął z jej ramion czerwoną kurtkę. Objął Luisę mocno, a ona zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła gładzić go po włosach. Oddychał nierówno, a ruchy jego dłoni stawały się coraz bardziej niecierpliwe. Przesuwał je po niej tak, jakby studiował kształt jej ciała chcąc zapamiętać, dowiedzieć się o nim wszystkiego tylko przy pomocy dotyku.

Nagle przestał ją całować i pieścić mistrzowskimi ruchami dłoni. Oparł brodę na jej ramieniu, a ona poczuła na szyi jego gorący oddech.

- Sam już nie wiem, co myśleć - powiedział przytłumionym głosem.

- Na pozór jesteś taka zimna, ale pod tą powłoką kryje się wulkan... Jesteś jak góra lodowa, której tylko wierzchołek widoczny jest na powierzchni wody, a która może zmiażdżyć każdego, kto nie będzie dość czujny.

- Jak możesz mi coś takiego zarzucać? Przecież mnie nie znasz... - wybuchnęła dotknięta jego uwagą. Uniósł głowę i popatrzył na nią zniecierpliwiony.

- Czy ty naprawdę uważasz, że ja tego nie dostrzegam? Oczywiście nie wiem, dlaczego to wszystko robisz, ale ja też nie wiem, co się ze mną dzieje, kiedy jestem z tobą! - krzyknął. - Dlaczego, na przykład, tak w kółko cię całuję?

- Chcesz mi powiedzieć, że rzucam ci się w ramiona? - spytała Luisa, zaczerwieniona po uszy.

Czyżby zaczął się domyślać jej uczuć? Na myśl o tym chciała natychmiast zapaść się pod ziemię.

- Oczywiście, że nie, bo tak nie jest. Masz na to zbyt dużą klasę. Zresztą gdybyś należała do tego typu kobiet, z pewnością bym cię wykpił. Takie kobiety omijam z daleka. To ja zawsze występuję z inicjatywą.

- Wiec po co mnie pytasz, jak to się dzieje, że w kółko mnie całujesz? Jeśli to ty robisz pierwszy krok, znasz odpowiedź! - wyrzuciła z siebie, z trudem łapiąc oddech.

Oczywiście bardzo żałowała, że nie wie, dlaczego on to robi.

- Ja tylko głośno myślę - wyznał, stojąc już daleko od niej, z rękoma w kieszeniach i z pochyloną głową.

- Od ciebie też nie żądam odpowiedzi. Bez wątpienia wywierasz na mnie dziwny wpływ. Od dawna łamię sobie nad tym głowę, ale wciąż bez rezultatu. Być może podczas wypadku z moim mózgiem stało się coś niedobrego, czego nie widać na rentgenogramie.

- Z twoim mózgiem jest wszystko w porządku - zapewniła go natychmiast Luisa. - Widziałam nie tylko zdjęcie rentgenowskie, ale i wyniki innych badań. Nie było żadnych uszkodzeń.

- Staram się nie pamiętać, że jesteś pielęgniarką - oznajmił z kwaśną miną. - Ale wcale to nie pomaga. Może zbyt wiele czasu spędzam sam. Zbyt wiele rozmyślam... Uporczywie rozmyślam o tobie...

Na te słowa serce podskoczyło Luisie z radości, ale natychmiast przypomniała sobie dziewczynę, którą Zachary zobaczył tuż przed wypadkiem i o której stale od tamtej pory śnił i marzył...

- A co z tą dziewczyną w białej sukience, którą widziałeś w ogrodzie? - spytała ściszym głosem. - Czy jeszcze o niej myślisz?

- Przez cały czas - przyznał zakłopotany. - Wciąż o niej marzę, ale niekiedy...

- Co niekiedy? - dopytywała się, bo urwał tak nagle.

Nie odpowiedział, lecz podszedł do sztalug i z rękami w kieszeniach zaczął wpatrywać się w obraz. Luisa przyglądała mu się z daleka. Jakiż był piękny w tych obcisłych dżinsach i w cienkim, białym swetrze, który włożył na gołe ciało. Przylegały do jego wysokiej, zgrabnej sylwetki jak druga skóra.

- O, zacząłeś malować? - spytała po chwili milczenia i podeszła do sztalug.

- Nie chcę, by ktokolwiek to oglądał! - Zachary odwrócił się i próbował zasłonić płótno szerokimi ramionami. Niestety, zbyt późno.

Obraz był jeszcze nie wykończony, ale w ogólnych zarysach został już namalowany. Widniał na nim ogród, żywopłot i niebo o zmierzchu, z sierpem wschodzącego księżyca. Na pierwszym planie przyciągała uwagę plama bieli - dziewczyna w białej, powiewnej sukience. Miała czarne, spadające na ramiona włosy i była na wpół odwrócona. Już na pierwszy rzut oka Luisa nie bez zazdrości rozpoznała wszystkie szczegóły, znane jej z opowieści malarza.

Obraz miał dziwny, magiczny nastrój, jakby świat, który przedstawiał, nie był rzeczywisty. Półmrok, dziewczyna w lekkiej jak obłok sukience, księżyc srebrzący liście drzew i jaśniejące w oddali okna domu tworzyły aurę tajemniczości. Intrygowały jakimś ukrytym znaczeniem. Ale Luisie udało się także spojrzeć na twarz dziewczyny, zanim Zachary zdążył zasłonić obraz swoim ciałem. I ze zdumienia otworzyła szeroko oczy. Bo to była jej twarz, twarz Luisy Gilbey.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Była tak zaskoczona widokiem swojej twarzy na portrecie dziewczyny w białej sukience, że nawet nie potrafiła zapytać Zacharego, dlaczego tak się stało. Patrzyła tylko na niego oczami okrągłymi jak spodki, a on stał, poruszony jak nigdy dotąd.

- Zupełnie nie pamiętam jej twarzy - przyznał bezceremonialnie. - Pamiętam tylko wrażenie, jakie na mnie wywarła. Gdy mi się śni, widzę jej twarz dokładnie. Kiedy jednak zacząłem robić szkice pamięciowe do obrazu, musiałem pozostawić miejsce twarzy puste. I ilekroć próbowałem później narysować tę twarz, tylekroć kończyło się to porażką. Myślałem nawet o tym, by pozostawić tę część obrazu niezamalowaną. Mogłoby to wzbudzić zainteresowanie, a nawet stać się przedmiotem specjalnych dociekań. Takie zręczne sztuczki bawią wernisażowy tłumek, ale ja nie uprawiam tego rodzaju malarstwa. Nie stosuję różnych trików i gier, by tworzyć wrażenie nieokreśloności. Kiedy więc głowiłem się, co z tym fantem zrobić, ze zdumieniem odkryłem, że malując machinalnie jakieś oczy, nos i usta, namalowałem... ciebie. I twoja twarz pasowała do tej dziewczyny - wyjaśnił Luisie ze wzruszeniem ramion. - Toteż w ostatecznej wersji obrazu, którą widzisz, namalowałem twoją twarz.

Spoglądał teraz na obraz, zaciskając usta, a ona bacznie go obserwowała, choć nie potrafiła dociec, o czym myśli Zachary.

- Co o tym sądzisz? - zwrócił się do niej z nieprzeniknioną twarzą.

Potrząsnęła głową, ale nie powiedziała nic. Co mogła o tym sądzić? Co to naprawdę znaczyło? Nie miała pojęcia, dlaczego namalował jej

twarz na portrecie dziewczyny, o której śnił i marzył. Czuła tylko bolesny łomot serca.

- Może teraz już wiesz, dlaczego ci powiedziałem, że czuję dziwne zakłopotanie z twojego powodu... - zaczął szorstkim głosem. - Sam siebie zresztą nie rozumiem. Raz po raz trzymam cię w ramionach, a kiedy później usiłuję namalować jej twarz, okazuje się, że namalowałem twoją. Jest tak, jakby w moim umyśle zlały się dwa obrazy, ale nie rozumiem, dlaczego! Niczego już nie pojmuję... To chyba jakieś szaleństwo.

W szpitalu, podczas nocnego dyżuru, Luisa obsesyjnie myślała o tej zagadkowej sprawie. Zastanawiała się nawet, czy nie porozmawiać o tym z którymś ze szpitalnych psychiatrów. Rozmyśliła się jednak wiedząc, że nikt nie wyda opinii od ręki, czyli bez badań szpitalnych. Będą chcieli poddać Zacharego długotrwałej obserwacji, a Luisa była pewna, że on się na to nie zgodzi. Po pierwsze, życie sprawiło, że z konieczności widział zbyt wielu lekarzy w ciągu tego roku, a po drugie miał wyjątkową awersję do psychiatrii. Przekonywała się o tym, ilekroć ten temat pojawiał się w ich rozmowie.

Następnego dnia przed południem przyjechała do kapitańskiego domku, by, zgodnie z umową, zawieźć Zacharego do sądu w Whinbury.

- Wcześniej jesteś - przywitał ją zimno, otwierając drzwi.

Zachowywał się bardzo oficjalnie i wyglądał zupełnie inaczej niż zwykle. Ubrany był w ciemny garnitur, do którego założył koszulę w białoczerwone paski i jedwabny krawat w rdzawym odcieniu. Luisa wołała go w dżinsach i białym obcisłym swetrze.

- Parking przy sądzie nie jest zbyt duży, więc może być zatłoczony - tłumaczyła się. - Wysadzę cię tam, a potem poszukam gdzieś wolnego miejsca.

- Rozumiem. Chodzi o to, żeby ludzie nie zobaczyli, jak wchodzisz ze mną do sądu, prawda? - wykrzyknął i popatrzył na nią nieustępliwie.

- Czy zapiąłeś pasy? - spytała zaczerwieniona, umyślnie zmieniając temat.

Całkowicie zignorował jej napomnienie i zaczął oglądać swoją twarz w samochodowym lusterku.

- Wszyscy z pewnością zaczną się na mnie gapić, gdy będę wchodził do sądu. Może powinienem sobie zarzucić worek na głowę? - spytał prowokacyjnie i zacisnął w napięciu usta.

- Nie mów głupstw. Masz zaledwie kilka blizn...

- Kilka? - Z rozgoryczeniem ponownie zerknął do lusterka.

- Oczywiście niektórzy ludzie mogą się w ciebie wpatrywać - zaczęła łagodnie. - Ale to potrwa jedynie chwilę, bo szybko przyzwyczajają się do twojego wyglądu.

- Mówisz tak tylko dlatego, że to ty jesteś przyzwyczajona do widoku ludzi ze straszliwymi oparzeniami.

- Nie - zaprzeczyła stanowczo Luisa. - Mówię tak dlatego, że od lat obserwuję, jak pacjenci i ich rodziny reagują na zniekształcenia twarzy. Ludzie po prostu przyzwyczajają się do wszelkich możliwych uszkodzeń ciała i kalectw. Po krótkim czasie w ogóle przestają dostrzegać blizny. Przestają zwracać na nie uwagę, bo są na ich widok przygotowani. Stają się one jakby nową cechą twarzy, którą już znają. Tylko obcych może zaskoczyć pokryta bliznami twarz.

Ale właśnie dzisiaj, w sądzie, spotkam mnóstwo obcych ludzi! - nie ustępował Zachary.

Był tak rozhisteryzowany, że kurczowo zacisnął dłonie. Luisa pochyliła się w jego stronę i zaczęła je rozprostowywać. Przytrzymała je mocniej, chcąc jakoś uspokoić Zacharego.

- Przestań się tak denerwować! Skoro to obcy ludzie, co cię obchodzi, jak zareagują na twój wygląd? Powinieneś być przecież przyzwyczajony, że ludzie patrzą na ciebie z zainteresowaniem. W końcu jesteś bardzo przystojnym mężczyzną...

- Miałem okazję przekonać się o tym, kiedy Dana odwiedziła mnie w szpitalu! O mało nie zemdląłem na mój widok! - przypomniał z drwiną.

- Co tam Dana! Kogo interesuje jej reakcja? - powiedziała, wzruszając lekceważąco ramionami. Oczywiście nigdy nie miała okazji jej poznać, ale wiedziała, że nie polubiłaby jej.

- Otóż to. Kogo interesuje jej reakcja? - powtórzył za Luisą Zachary i roześmiał się. - Ale skoro ty nie wstydzisz się mojego wyglądu, to dlaczego nie chcesz, by ludzie zobaczyli nas razem? - spytał i ujął ją delikatnie za podbródek, odwracając jej twarz ku swojej.

Była tak zmieszana, że nie potrafiła zebrać myśli, by mu odpowiedzieć. Trzepotała tylko rzęsami, na przemian spoglądając na niego i spuszczać wzrok.

- A może to z powodu twojego zazdrosnego przyjaciela? - spytał szorstko.

- Ależ skąd! - zaprzeczyła gwałtownie, przekonana, że chodzi o Davida, z którym przecież nic jej już nie łączyło.

- Nie będzie go w sądzie?

-A dlaczego miałyby być? Nie jest zamieszany w wypadek, więc nie tam po nim.

- Czy wciąż go widzisz?

- Pracujemy razem! Trudno, bym go nie widywała! - odpowiedziała zaskoczona.

- Przecież wiesz, o co pytam. Umawiasz się z nim zatem na randki czy nie?

- Od czasu tej kłótni pod twoim domem nie umawiam się - wymamrotała. - Ale dlaczego tak cię to interesuje?

- Po prostu jestem ciekaw - odpowiedział zimno.

- Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, to powiem ci, że David umawia się teraz z pielęgniarką z innego oddziału! - krzyknęła i spojrzała na niego prowokacyjnie.

- A ty nie masz nic przeciwko temu? - dociekał uparcie.

- Jesteś jak śmierć lub poborca podatkowy. Nigdy się nie odczepisz - powiedziała z ciężkim westchnieniem.

- Nie wtedy, gdy chcę się czegoś dowiedzieć. A więc, czy nie masz nic przeciwko temu, że on umawia się z kimś innym?

- Nie, nie mam - odrzekła z rezygnacją. - David nie był kimś ważnym w moim życiu, ale ja też nie byłam dla niego odpowiednią kobietą. Lubiliśmy się, lecz nic poza tym nas nie łączyło. Czy wreszcie możemy skończyć rozmawiać o moim prywatnym życiu?

- Jeszcze nie. Powiedz mi w takim razie, dlaczego był tak zazdrosny, kiedy przyjechał za tobą pod mój dom?

- Chyba oszukiwał się wierząc, że coś w jego życiu znaczę. Tak uważam, bo kiedy zerwaliśmy, szybko pocieszył się inną dziewczyną.

- Kto zerwał? Ty czy on?

- Ja. Powiedziałałam mu w przeddzień tej kłótni pod twoim domem, że wszystko między nami skończone. Między innymi dlatego był wtedy taki zdenerwowany...

W tym momencie Luisa zamarła, bo uświadomiła sobie, iż Zachary może odnieść wrażenie, że jej zerwanie z Davidem ma jakiś związek z nim samym.

- Oczywiście klóciliśmy się od dawna. To nie miało nic wspólnego z tobą. To czysty zbieg okoliczności, że przyjechał wtedy za mną pod twój dom - dodała pośpiesznie.

- Hmm... - mruknął bez przekonania. - A czy kiedykolwiek pomyślałaś, że go kochasz?

Była tak zaskoczona tym obcesowym pytaniem, że tylko zaprzeczyła ruchem głowy.

- A czy kiedykolwiek pomyślałaś, że kochasz kogoś innego? - drażył dalej Zachary, patrząc na nią w napięciu.

- Jasne! Sądzisz, że nie? Kiedy byłam podlotkiem, zakochiwałam się i odkochiwałam co miesiąc!

- A od tamtej pory?

Luisa nie odpowiedziała, a Zachary uśmiechnął się dwuznacznie.

- To tłumaczy twój wygląd - mruknął.

Luisa wciąż milczała, niezdolna zapytać, na kogo ona, jego zdaniem, wygląda.

- Więc z jakiego powodu nie chcesz, by zobaczono nas razem? Boisz się, że ludzie pomyślą, iż uzgodniliśmy zeznania?

-Nie! Absolutnie nie! Ale ja... Mój ojciec... Ja mu nie powiedziałam, że ciebie znam.

- Czyli to nie był jego pomysł, żebyś ty... - zaczął, naprawdę zaskoczony jej wyznaniem.

Przez chwilę zastanawiała się, co chciał powiedzieć, i nagle to sobie uświadomiwszy, rozgniewała się na dobre.

- Nie! Nie! To nie był pomysł mojego ojca, bym zawiozła cię do sądu! Powiedziałam ci już, że on w ogóle nie wie o naszych spotkaniach po twoim wyjściu ze szpitala w Whinbury. I nigdy nikomu nie pisałam słowa na temat dziewczyny w białej sukience! - wykrzyknęła z oburzeniem.

- A więc jedźmy. Siedzimy w samochodzie od dobrych dziesięciu minut i kłócimy się. Jeśli zaraz nie ruszymy, będziemy spóźnieni! - powiedział po chwili milczenia Zachary i uśmiechnął się do Luisy.

Była pewna, że uwierzył we wszystko, co mu powiedziała. Westchnęła z ulgą i włączyła silnik.

- Będziemy tam w pół godziny. Nie spóźnimy się. Ale chyba dobrze się stało, że zarezerwowałam na to więcej czasu - uspokajała go.

- Ty zawsze zachowujesz się roztropnie - wycedził, ale twarz miał pogodną.

Luisa doskonale wiedziała, że Zachary znowu zaczyna się z nią droczyć, ale tym razem nie odezwała się ani słowem. Tak bardzo martwiła się o to, jaki wyrok wyda sąd, a w związku z tym, jaki los czeka jej ojca, że prawie straciła humor.

Zachary wyciągnął się na siedzeniu i w zadumie spoglądał na przesuające się przed ich oczami żywopłoty. O tej porze roku jeszcze się

nie zieleniły i przeświecały przez nie zaorane pola i pełne owiec pastwiska.

- Cały mój ogród zappełnił się przebiśnigami. Tylko patrzeć, jak będzie wiosna, a właśnie wiosną zdarzył się wypadek. Prawie rok temu. Żaden rok w moim życiu nie ciągnął się tak długo - powiedział.

Znowu nie zareagowała. Nie odrywała wzroku od jezdni. Poczwała się jednak nieswojo. Zachary wciąż był rozgoryczony. Oczywiście nie mogła mieć o to do niego pretensji. Runął cały jego dotychczasowy świat.

- Ale przecież znowu maluję - stwierdził podnieconym głosem. - Nie masz pojęcia, jakie to wspaniałe uczucie, gdy wraca się do pracy. Gdy każdego ranka wchodzi się z niecierpliwością do pracowni, żeby zobaczyć, co się zrobiło poprzedniego dnia. I żeby to kontynuować.

- Oczywiście nigdy nie malowałam, ale doskonale wyobrażam sobie, jak musi się czuć ktoś, kto nagle nie może robić tego, co najlepiej potrafi i najbardziej lubi - odpowiedziała zgaszonym głosem.

- Czy żałowałaś swojej pracy, gdybyś musiała się z nią rozstać? - spytał i spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- Bardzo bym żałowała. Akurat w tym jestem dobra. A poza tym lubię ten dreszczyk emocji, który towarzyszy wykonywaniu każdej pracy, o której się wie, że umie się ją robić dobrze.

- Tak, z pewnością jesteś dobrą pielęgniarką. Jesteś także tolerancyjna, opanowana... Och! Zatrzymaj się!!!

Luisa drgnęła na dźwięk tej wydanej ostrym tonem komendy i popatrzyła na niego kompletnie zbity z tropu.

- Zatrzymaj samochód!!! - rozkazał głosem, który wzbudził w niej strach.

Zerknęła do lusterka, ale nie zobaczyła z tyłu żadnego auta. Nic też nie nadjeżdżało z przodu. Mimo to zaczęła zwalniać.

- Co się stało?

Zachary nie odpowiedział. Sprawiał wrażenie, jakby w ogóle o niej zapomniał. Wsiadł z samochodu i zaczął biec szosą z powrotem.

Odwróciła się na siedzeniu i patrzyła w ślad za nim. Nie miała pojęcia, co przyciągnęło uwagę Zacharego. Postanowiła sprawdzić, czy nie przejechała jakiegoś zwierzątka, jak to się niekiedy zdarzało. Wsiadła i bardzo zmartwiona podeszła do Zacharego. Stał jak skamieniały.

- O co chodzi? Co się stało? - spytała go skonsternowana widząc, że nic nie leży na drodze.

- To było tutaj! powiedział z oszołomioną i pobladłą twarzą.

- Co było? Jakiś ptak?

- Ptak? Nie! - odpowiedział z przejęciem. - Tamtego wieczora... To było tutaj...

- Mówisz o miejscu, w którym zdarzył się wypadek? Nie, nie, Zachary, mylisz się. To było o wiele dalej.

Dokładnie pamiętała to miejsce. W ciągu ostatnich miesięcy przejeżdżała tamtędy wiele razy i zawsze czuła ten sam zimny dreszcz i tę samą suchość w ustach. Zachary i jej ojciec mogli tam tak łatwo zginąć.

- Nie chodzi o wypadek. Czy nie rozumiesz? Właśnie tu ją zobaczyłem.

- Tu? Tu ją zobaczyłeś? - powtórzyła osłupiała. Zachary stał wpatrzony w żywopłot po przeciwnej stronie szosy. Krzewiły się tam splątane, wiotkie głogi, teraz bezlistne, ale wiosną zeszłego roku pełne życia. Zawsze kwitły tu pierwiosnki, fiołki i żonkile, a także

ciemnoniebieskie dzwonki, których morze przypominało delikatną mgiełkę, unoszącą się nad trawą.

-Ten żywopłot... Widziałem, jak biegła przez ogród, ukryta za tym żywopłotem. Ten dom... Czy widzisz ten biały dom za drzewami? To z pewnością jej dom - mówił roztrzęsionym głosem, niezbyt wyraźnie wymawiając słowa. - Jest całkiem prawdopodobne, że ona jest tam teraz lub że lada chwila pojawi się przy furtce... - Przerwał i roześmiał się ponuro.

Luisa słuchała go pobladała niczym zjawa z zaświatów. I patrzyła na dom takim samym zahipnotyzowanym wzrokiem jak Zachary.

- Czy jesteś pewien, że właśnie tu ją zobaczyłeś? - spytała cicho, z trudem wydobywając z siebie słowa.

-Tak. Nigdy nie potrafiłbym zapomnieć tego miejsca. Nie rozpoznajesz go? Widziałaś przecież mój obraz...

- Nie rozpoznałam tego miejsca na obrazie, ale przedtem nigdy nie przyszło mi do głowy, że... Ogrody są do siebie bardzo podobne, a domu nie było widać wyraźnie. Nigdy bym się tego nie spodziewała...

- Znasz ten dom? Znasz ją? Kto to jest? Jak się nazywa? - dopytywał się gorączkowo.

Ale Luisa milczała. Bez słowa patrzyła na Zacharego, a w jej fiołkowych oczach błysnęły łzy. Płakała ze szczęścia. Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, jakby nic z tego nie rozumiał. Nagle, w chwili olśnienia, pojął, dlaczego ona płacze, i zaczął patrzeć na nią z jeszcze większym zdumieniem.

-Tamtego dnia były moje urodziny - zaczęła łagodnie. - Zawsze spędzam je z ojcem. Wtedy jednak, chociaż umówiliśmy się wcześniej, że

pójdziemy do restauracji, zapomniał o tym. Wybrał się z Noelle na party. A ja czekałam tu na niego, w moim rodzinnym domu, tym, który właśnie widzisz... Mieszkałam tu przez większą część życia, do czasu powtórnego ożenku ojca. Myślałam, że on na mnie czeka, ale kiedy przyjechałam z Whinbury, nie było go. Specjalnie na urodziny kupiłam sobie nową sukienkę. Była bardzo romantyczna - biała i powłóczysta. Miała długie rękawy, a jej dekolt i dół zdobiły bogate koronki. Wyglądała odrobinę średniowiecznie.

- Tak - potwierdził Zachary.

- Więc kiedy tu przyjechałam, ojca nie było - ciągnęła po chwili milczenia widząc, że Zachary nie kwapi się, by powiedzieć coś więcej. - Poczułam się tym tak dotknięta, że straciłam panowanie nad sobą. Niewiele myśląc podniosłam słuchawkę i zadzwoniłam do niego z wymówkami. To było dziecinne i niemądre. Wiele bym teraz dała, żeby mieć wtedy więcej rozsądku. Po prostu powinnam pójść do restauracji sama lub zaprosić kogoś spośród przyjaciół, a nie zachowywać się jak rozkapryszony dzieciak.

- Ty i rozkapryszony dzieciak? To niemożliwe! - Zachary roześmiał się z niedowierzaniem.

- Przecież mnie nie znasz - odpowiedziała i uśmiechnęła się do niego drżącymi wargami.

- Właśnie poznaję - odparł z taką determinacją, że na chwilę wstrzymała oddech.

- Ojciec bardzo się przejął moim telefonem - kontynuowała Luisa cichym, nierównym głosem. - Powiedział, że przyjeżdża natychmiast.

Wyszłam do ogrodu, bo była piękna pogoda. Właśnie zapadał ciepły wiosenny wieczór i chciałam przywitać ojca przy furtce.

- Miałaś rozpuszczone włosy - powiedział równie cicho Zachary. - Jak dziewczyna. Rozwiewały się podobnie jak twoja biała sukienka. Przypominałaś mi średniowieczną dziewicę oczekującą na swojego rycerza.

- Jesteś taki romantyczny, choć nie wyglądasz...

- A jak wyglądam? - spytał. W jego głosie znowu pojawiła się gorycz. - Nie, nie odpowiadaj. Wiem, że wyglądam jak upiór, którym straszy się dzieci.

- To nieprawda! Masz blizny na twarzy i zranioną duszę, ale wcale nie przestałeś być bardzo pociągającym mężczyzną. Przykro mi, Zachary, bo to moja wina, że ojciec jechał tak szybko i że ty musiałeś tyle wycierpieć.

Wpatrywał się teraz uważnie w drżące usta Luisy i w jej wielkie, fiołkowe oczy. Podziwiał jej piękną, jasną cerę. Jego spojrzenie na powrót złagodniało i znowu się do niej uśmiechnął.

- Może jest to cena, jaką musiałem zapłacić za spotkanie ciebie. W życiu nie ma nic za darmo. A poza tym wiele nowego dowiedziałem się w ciągu minionego roku i o sobie samym, i o życiu - powiedział z posępną zadumą. - Może po tym wszystkim będę lepszym malarzem, a z pewnością innym niż dotychczas. Z upodobaniem malowałem krajobrazy, ale nigdy ludzi. Teraz już wiem, że unikałem tego tematu, ponieważ ludzi maluje się trudniej. Na obrazie trzeba opowiedzieć ich historię, podczas gdy krajobraz to po prostu krajobraz. Ale kiedy po wypadku sięgnąłem znów po farby, odczułem potrzebę namalowania postaci ludzkiej, tej

dziewczyny, o której śniłem przez tyle nocy. Ona... ty... ty byłaś tym kimś, kogo tak rozpaczliwie uczepliłem się w najtrudniejszych miesiącach. Ty dałaś mi siłę do walki o życie.

Luisa była tak wzruszona jego wyznaniem, że po prostu zaniemówiła. Dobrze pamiętała tę pierwszą noc, którą Zachary spędził na jej oddziale i która miała zdecydować o jego życiu lub śmierci. Starła się być przy nim wtedy jak najczęściej i z niepokojem obserwowała, jak leży bez ruchu, pogrążony w narkotycznym śnie. Nigdy by nie przypuszczała, że śnił wtedy właśnie o niej.

Zachary otoczył Luisę ramieniem i poprowadził pod drzewko szczodrzeńca, które rosło wśród głogów żywopłotu. Ujął w dłonie jej twarz i patrzył na nią, wolno przesuwając spojrzenie z jej ust, nosa i oczu na upięte w kok włosy.

- Obiecuj mi, że zawsze kiedy nie będziesz w pracy, twoje włosy będą rozpuszczone - poprosił i wyjął z jej włosów spinki. - Czy nie widzisz, ile lat ci wtedy ubywa?

- A jak sądzisz, dlaczego upinam włosy w kok? - spytała ze śmiechem. - Kiedy po studium pielęgniarzkim zaczęłam pracować w szpitalu, pacjenci parskali na mój widok śmiechem, a lekarze nie traktowali mnie poważnie, bo wyglądałam jak uczennica. By dodać sobie powagi, musiałam upinać włosy w kok.

- Ale nie rób tego poza pracą - poprosił znowu, gładząc długie, bujne włosy, które teraz okrywały jej ramiona. - Są miękkie jak jedwab. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę cię nagą, z włosami opadającymi na piersi...

Słyszając to Luisa poczuła, jak płonie jej skóra i jak oddech więźnie jej w gardle. A on patrzył na nią tak, jakby dłużej nie zamierzał ukrywać, że chciałby kochać się z nią teraz, zaraz, gdyby tylko było to możliwe.

- Najdroższa moja, chyba nie jestem za szybki? - spytał w końcu, widząc jej zmieszanie. - Znamy się już przecież prawie rok. To długo, bardzo długo.

Oblana purpurą Luisa wciąż nie potrafiła wydobyć z siebie słowa.

- Znowu się rumienisz - powiedział Zachary i uśmiechnął się do niej.

- Sposób, w jaki się rumienisz, powinien mi już dawno uzmysłwić, kim jesteś naprawdę! Bo ten rumieniec zupełnie nie pasuje do siostry Gilbey, która w sztywnym uniformie i z zimną twarzą sprawiała na mnie wrażenie góry lodowej. Natomiast bez trudu wyobraziłbym sobie rumieniec na twarzy dziewczyny, którą spostrzegłem w ogrodzie i w której zakochałem się bez pamięci. Byłem przekonany, że to dziewczyna, a nie dojrzała kobieta, lecz nie pomyślałem, że skoro o zmierzchu wzrok łatwo ulega złudzeniom, to i tym razem mogłem się mylić. Toteż gdy zobaczyłem cię po raz drugi, w szpitalu, z upiętymi włosami i w służbowym uniformie, w ogóle cię nie poznałem. Mój wzrok znowu dał się oszukać. A tymczasem wysoka, opanowana pielęgniarzka, która pochylała się nade mną niczym wyniosły anioł, była tą dziewczyną, o której śniłem po nocach. Mój umysł nie potrafił tego odgadnąć.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że twoje uczucie było tylko wytworem wyobraźni? - spytała zatrwożona.

- Nie, Luiso - powiedział ciepło. - To nie moje uczucie stanowiło problem, lecz umysł. Uznałem, że jesteś zimna, choć nie było to zgodne z prawdą. I żywiłem do ciebie podświadomą urazę, bo kojarzyłaś mi się z

moim cierpieniem, a przecież robiłaś wszystko, żeby mi pomóc. Równocześnie, od samego początku, bardzo mnie pociągałaś i to zupełnie zbijało mnie z tropu. W nocy śniła mi się jedna kobieta, a za dnia namiętnie całowałem drugą. Kiedy obie zaczęły się zlewać w jeden obraz, naprawdę myślałem, że dzieje się ze mną coś niedobrego. Nie można być równocześnie zakochanym w dwu kobietach i nie można ich ze sobą mylić bez obawy, że się jest chorym psychicznie.

- Prawdę mówiąc uważałam, że powinieneś zasięgnąć porady psychiatry - przyznała i roześmiała się z ulgą na myśl, że jej strach o Zacharego był niepotrzebny, bo namalowana dziewczyna nie była chorobliwym urojeniem, lecz nią, Luisą Gilbey.

-Wiem. Zwróciłem uwagę na minę, jaką miałaś, gdy w twarzy dziewczyny z obrazu rozpoznałaś własną. Powiniennem wtedy wyciągnąć z tego wnioski. W rzeczy samej nie mogłem namalować "jej" twarzy, bo znałem tylko twoją.

- A ja, widząc swoją twarz na tym obrazie, pomyślałam prostodusznie, że po prostu zaczynasz zapominać o „tamtej” dziewczynie i zwracasz się w moją stronę.

Westchnął, zaskoczony tym zwierzeniem.

- Przecież ja cię kocham, Luiso. Ciebie i tylko ciebie... A ty? Co ty czujesz?

- Nie wiesz? - odpowiedziała pytaniem na pytanie, śmiejąc się ze szczęścia. - Szaleję za tobą. Jestem w tobie zakochania od chwili, gdy pojawiłeś się na moim oddziale. Byłeś wtedy taki bezbronny i chory...

- Ale już nie jestem. To chyba nie zmieni twoich uczuć?

Nie czekał jednak na odpowiedź, lecz gwałtownie pochylił się do ust Luisy.

- Straciłem chyba poczucie rzeczywistości. Czy ja przypadkiem nie śnię, kochanie? Czy to wszystko dzieje się naprawdę i ty jesteś tutaj? - spytał po chwili.

Słyszała jego przyśpieszony oddech i czuła dotyk jego dłoni na policzku. Uśmiechnęła się, jakby chcąc go upewnić, że to nie kolejny sen, lecz najprawdziwsza rzeczywistość. Nagle odruchowo spojrzała na jego zegarek i jęknęła z przerażenia.

- Spójrz, która godzina! Możemy się spóźnić na rozprawę!

Popędzili do samochodu.

- Mamy trzy kwadranse, by tam dojechać. To mnóstwo czasu - uspokajał ją, kiedy już ruszyła.

Gdy podjechali pod gmach sądu, Zachary ociągał się z wysiadaniem, domagając się pocałunku. Zmuszeni byli rozstać się na chwilę, bo parking był rzeczywiście zajęty i Luisa musiała gdzie indziej postawić samochód.

- Wsiadaj! Nie wolno ci się spóźnić! - ponaglała go, popychając lekko, ale nie oparła się jego pocałunkowi.

Gdy weszła na salę sądową, rozprawa właśnie się zaczynała. Usiadła dyskretnie w ławach przeznaczonych dla publiczności. Z przestrachem spoglądała na ojca, Zacharego, sędziów i adwokatów. Zimowe słońce, które rozjaśniło salę rozpraw, odśłoniło głębokie bruzdy na twarzy Harry'ego Gilbeya. Wyglądał starzej niż zwykle. Słońce nie było też łaskawsze dla Zacharego. Blizny stały się bardziej widoczne. Luisa drgnęła z bólu, gdy spostrzegła posyłane mu ciekawskie spojrzenia. Miał spuszczone wzrok i zaciśnięte szczęki. Serce wyrywało się jej do niego i

do ojca, dwóch mężczyzn, których kochała. Było ironią losu, że zetknął ich ze sobą wypadek, który im obu zatruł życie, a teraz - jako strony - spotykali się na sali sądowej. Sprawiedliwy wyrok usatysfakcjonowałby z pewnością Zacharego, lecz zarazem mógł oznaczać ruinę jej ojca. Zastanawiała się, jak mu po takim wyroku powie, że kocha mężczyznę, który zniszczył jego życie.

Rozprawa ciągnęła się przez kilka godzin. Adwokaci wygłaszali długie mowy, sędziowie wciąż zadawali jakieś pytania, a ojciec i Zachary bez końca zeznawali, podobnie jak policja i personel karetki pogotowia. Harry Gilbey spojrział na Zacharego z niedowierzaniem i wdzięcznością, gdy ten oświadczył, że tuż przed wypadkiem był zdekoncentrowany i gdyby nie to, być może w ogóle nie doszłoby do zderzenia. W miarę upływu czasu Luisie coraz bardziej kleiły się oczy, nie spała ani minuty po nocnym dyżurze. Na szczęście nie musiała iść wieczorem do pracy. W końcu sąd wydał orzeczenie, które zresztą nie było dla niej żadną niespodzianką. Uznano winę ojca, a to oznaczało, że Zacharemu Westowi należy się odszkodowanie zarówno z tytułu utraty zdrowia, jak i za zniszczone obrazy. Sprawa wysokości odszkodowania miała być jednak przedmiotem odrębnej rozprawy. Ludzie zaczęli wychodzić, a Luisa, senna i trochę zagubiona, rozglądała się za ojcem, z którym nawet nie zdążyła się przywitać.

- Jak się masz, tato? - pozdrowiła go, podchodząc do niego i Noelle.
- Jestem zadowolony - odpowiedział, ale jego uśmiech był sztuczny.
- Nie ustalili wysokości odszkodowania!
- To odrębna kwestia. Zachary West musi najpierw oszacować straty.

- Spodziewam się, że podwoi wysokość odszkodowania! - odezwała się ze złością Noelle.

W tym momencie Zachary podszedł do nich, a Harry Gilbey podał mu rękę, patrząc na niego z obawą.

- Panie West... Jest mi bardzo przykro... Dziękuję za to, co pan powiedział. Zachował się pan bardzo szlachetnie i uczciwie.

- Nie byłem w tym taki zupełnie bezinteresowny... - odpowiedział Zachary z uśmiechem, ściskając jego dłoń.

- Przyznam, że nie do końca rozumiem - odparł zaniepokojony Harry Gilbey.

- Pragnę poślubić pańską córkę - wypalił West, obejmując Luisę zaborczym gestem.

Harry Gilbey osłupiał, ale również sama Luisa była tak zaskoczona, że ugięły się pod nią kolana. Patrzyła ze zdumieniem na Zacharego. Na jego twarzy malowało się wielkie wzruszenie, ale i coś z przekory.

- Czy znowu za dużo się pośpieszyłem, najdroższa? - zwrócił się do oniemiałej Luisy.

Noelle spoglądała tylko z niedowierzaniem to na Zacharego, to na córkę Harry'ego Gilbeya.

- Nie, wcale nie - odpowiedziała mu w końcu, z trudem łapiąc oddech. Roześmiała się zaraz potem, jakby te nagłe i niepojęte dla ojca i Noelle oświadczenia uznała za rzecz oczywistą. - Wyjdę za ciebie nawet jutro, ale chyba powinniśmy najpierw o tym porozmawiać?

- Chodząca roztropność! - zaśmiał się z nie ukrywanym zadowoleniem. - Oczywiście, że powinniśmy, ale chciałem upewnić twojego ojca, że moje zamiary wobec ciebie są uczciwe.

- Luiso? - zwrócił się do niej Harry Gilbey. - Ja nic nie rozumiem. Nie powiedziałaś mi ani słowa... Widywaliście się? Dlaczego nigdy nic nie mówiłaś?

- To... Och, nie zrozumiesz... Było trudno... - bąkała zmieszana.

- Myślę, że powinniśmy teraz pojechać do ciebie do domu, Harry - wszedł jej w słowo West. - Mogę panu mówić po imieniu? To dobrze - powiedział widząc, że Gilbey kiwa głową. - A więc jedźmy. W domu opowiemy ci o wszystkim. Aha. I zapomnijmy o odszkodowaniu. Absolutnie nie zamierzam zaczynać mojego małżeństwa od wyduszania pieniędzy z przyszłego teścia.

-A... Ale... czy naprawdę jesteś tego... pewien? -jąkał się zdumiony Gilbey.

- Harry, mój drogi... - weszła mu w słowo Noelle, piorunując męża wzrokiem i wdzięcząc się do Zacharego. -To bardzo szlachetne i roztropne z pańskiej strony, zwłaszcza że już wkrótce będziemy rodziną.

- Dziękuję pani - odrzekł z powagą, ale Luisa dostrzegła w jego oczach cień cynicznego rozbawienia.

Uścisk Zacharego stał się mocniejszy i Luisa popatrzyła mu w oczy. Jej zarumienioną twarz, wokół której wiły się teraz bujne, ciemne włosy, przeppełniała radość, a fiołkowe oczy wyrażały miłość i wdzięczność.

- A więc jedziemy? - zwrócił się do niej. - Mamy tyle do powiedzenia twojemu ojcu i macosze! To wszystko wymaga przecież jakiegoś wyjaśnienia!

Luisa skinęła głową, ale wiedziała, że nigdy nie uda im się wyjaśnić do końca całej tej historii. Oczywiście powiedzą ojcu i Noelle, że są w sobie zakochani, lecz wiele szczegółów będą musieli pominąć, bo nie

zechcą dzielić się nimi z nikim. Czy zresztą dałoby się wytłumaczyć, że Zachary pokochał ją, zanim w ogóle się dowiedział, że Luisa Gilbey jest tą kobietą, którą właśnie kocha? Albo że ona zakochała się w nim, gdy leżał bez życia w szpitalu, mając zamiast twarzy bolesną maskę? Kto to kiedykolwiek zrozumie? To wszystko było niepojęte nawet dla nich samych. Pomyślała jednak, że może pewnego dnia jej przyszły mąż zacznie malować obrazy, które rozjaśnią tajemnicę ich miłości. A wtedy wszyscy zobaczą, w jaki sposób się pokochali.

